Nr. 39. Poznań, dnia 28-go września 1913 Rok XVII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38

Telefon Nr. 3097.

OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Unia Horodelska.

W pięćsetną rocznicę.

2. 10. 1413 — 2. 10. 1913.

Gdy po zgonie pierwszej twórczyni związku polsko-litewskiego, świątobliwej Jadwigi, zaszła wątpliwość, ażali król Jagiełło utrzyma się nadal przy tronie polskim, i gdy on rzeczywiście pozostał przy nim, ścieśniono pierwszą unię nowemi w roku 1410 paktatami i przysięgami. Zobowiązały się wówczas Polska i Litwa, tamta imieniem swoich najprzedniejszych panów koronnych, ta imieniem W. księcia Witolda z wielą bojarów i głównych książąt hołdownych, do wzajemnej względem siebie wierności, warując mianowicie, aby Litwa po śmierci W. księcia Witolda należała ciągle do Polski, Polska zaś po śmierci Jagiełłowej nie obierała sobie króla bez Litwy.

Był to jedyny w dziejach przykład dobrowolnego zjednoczenia się nieprzyjaznych przez wieki ludów, któremu historya jeszcze ściślejszego miała udzielić spoju. Szczęśliwe spółdziałanie różnych pobudek zmieniło tę bezprzykładną unię narodów w tem bliższą unię rodzin i ludzi. Przyczyniło się ku temu przedewszystkiem nabyte pod Grunwaldem przeświadczenie o zbawienności sojuszu Polski z Litwą wobec teutońskiego Krzyżactwa. Wynikłemu ztąd popędowi do coraz bliższej spójni chodziło o najdokładniejsze zrównanie stanów i obyczajów Polski z obyczajami i społeczeństwem litewskiem, mianowicie szlachty polskiej z bojarstwem Litwy. Po fortunnem zaś nawróceniu kraju na chrześcijaństwo łacińskie nie znała szlachecko-rycerska Polska średnich stuleci skuteczniejszego i konieczniejszego ku temu środka, nad udzielenie bojarstwu litewskiemu dostojności szlachectwa.

Kierowała się Polska w tej mierze powszechnem natchnieniem katolickiego zachodu, któremu właściwa ówczesnemu stanowi rycerskiemu ochota do upowszechnienia swoich obyczajów i trybu życia, posłużyła za nader silną dźwignię oświaty, uobyczajenia i uszlachetnienia ludzkości. Jak bowiem samo chrześcijaństwo dąży ostatecznie do pobratania wszystkich narodów za pomocą jednej wspólnej nauki miłości i moralności; jak mianowicie zachodni katolicyzm usilnie popiera tę dążność uniwersalną, tak i wspomniany tu pochop rycerskiego szlachectwa średniowiecz. Europy do rozprzestrzenienia wszędzie swoich szlacheckich obyczajów, swoich wyobrażeń i zasad, obalał ciasne szranki odrębnych narodowości, spajał wiele narodów, a przynajmniej najmożniejsze klasy wielu narodów jednym wspólnym trybem myślenia i pożycia; wyróżniał w wielu odrębnych narodach główne warstwy społeczne i tworzył z nich jakoby jeden powszechny naród szlachecki.

A równie jak użyteczną w końcu i dobroczynną, tak oraz niezmiernie żywą i przedsiębiorczą była ta dążność szerzenia szlacheckości przez szlachtę, i widząc ją nawet nie bez znacznego wpływu na naszą sławną unię w Horodle, nie możemy nie zwrócić uwagi na powinowactwo między rolą, odegraną tam przez rycerski stan polski, a podobnąż dążnością wszystkiego szlachectwa zachodniej Europy. Owszem, godzi się naszemu Horodłu tem słuszniej takie pojaśnienie światłem współczesnych dziejów sąsiednich, iż z tej to właśnie strony sąsiedniej, z za granicy, otrzymała wiekopomna scena w Horodle swoją ostateczną podnietę.

Pozostała ciekawa wiadomość, iż do wielkiej uroczystości unobilitowania bojarstwa Litwy nad Bugiem przyłożyła się osobliwie rada węgierskiego, a teraz już i rzymskiego króla Zygmunta, znanego bałwochwalcy wszelkich form, ceremonij, przyborów i błyskotek szwaleryi europejskiej. Nieprzyjaciel unii polsko-litewskiej dopóki ona zdawała się nietrudną do rozerwania, gotów był Zygmunt, przeciwnie, wesprzeć ją radą swoją, byle tem rycersko-szlacheckie obyczaje zachodu otworzyły sobie drogę do dzikiej Litwy. W takiej to myśli rozszerzenia onych innym trybem gdzieindziej, ustanowił nasz Luksemburczyk osobny order rycerski, czyli tak zwaną wówczas „liberyę“, z wyobrażeniem smoka, ale żadnej tam pochwały nie odniósł z dzieła swojego. Krajowcy i cudzoziemcy wzgardzili ofiarowanym sobie od Zygmunta smokiem niemieckim, a piękna myśl poszukiwanego w takich stowarzyszeniach średniowiecznych braterstwa

chyba na innej ziemi pełniejszym dojrzeć miała owocem.

Opowiada tedy najpoważniejszy z dziejopisów polskich tej pory, iż gdy król Jagiełło w kilkanaście miesięcy po wojnie grunwaldzkiej odwiedził króla Zygmunta na Węgrzech i za daną sobie w zastaw ziemię spiską wyliczył mu tam 37,000 kóp groszy praskich, Zygmunt Luksemburczyk po zagarnięciu pieniędzy doradził królowi polskiemu podjąć w Litwie takież samo dzieło cywilizatorstwa na kraj zachodni, jakiego niedawno dokonał w równie nieoświeconej Irlandyi angielski król Ryszard III, małżonek rodzonej siostry Zygmunta, a tem samem przez dalsze rozramienienie koligacyi wraz z Zygmuntem szwagier Jagiełłów. Gwoli temu powinowactwu osób i niejakiemu podobieństwu wypadków, niech nam wolno będzie wspomnieć kilku słowy o tej blizkoczesnej unii irlandzkiej.

Owoż mało co przed śmiercią królowej Jadwigi, około 1395 r., wyprawił się sławny tragicznym zgonem król Anglii Ryszard II za morze, do dawnej, lecz niesfornej i, mimo chrześcijaństwa, barbarzyńskiej jeszcze prowincyi berła angielskiego, Irlandyi. Shołdowawszy sobie tam przed niedawnym czasem kilku książąt krajowych, postanowiono uobyczaić ich teraz na wzór szwaleryi europejskiej. Tym końcem sprowadzono Irlandczyków do stolicy Dublina i rozpoczęto z nimi głośną w owych czasach pracę edukacyi szlacheckiej, pod przewodnictwem znamienitego rycerza angielskiego Henryka de Castide, który z urzedu miał okrzesać z barbarzyństwa — czyli jego własnym wyrazem mówiąc — „debarbaryzować książąt irlandzkich".

Najpotrzebniejszą ku temu rzeczą było, zdaniem Henryka, pasowanie rycerskie, przed któremu jednak należało oczyścić przyszłych rycerzów z wielu „narowów i nieprzystojności prostaczych". Aby wymiarkować dokładnie te narowy, pozwolił im cywilizator angielski żyć przez dni kilka dawnym obyczajem ojczystym i dopiero potem wziął się do dzieła. Zganiono tedy Irlandczykom najpierwej dawne wspólne obiady i biesiady, przy których książęta jedli i pili z jednej misy ze swymi dworzanami i śpiewakami, i rozsadzono wszystkich u trzech różnej godności stołów: przy jednym książąt, przy drugim śpiewaków i lutnistów, przy trzecim dworzan.

Zasmuconych rozbratem biesiadników odstąpiła wszelka ochota do jedzenia i picia, lecz mistrz cywilizacyi rycerskiej oświadczył, iż zwyczaj przeciwny trąci gburostwem, przeto wypadło zastosować się do przepisu. Następnie zdjęto z Irlandczyków dawny strój narodowy, nieznający wcale bielizny, i przyodziano ich w zwykłą odzież rycerską, wielce niewygodną z początku. Jeszcze niewygodniejszemi były siodła rycerskie ze strzemionami, rzecz wcale nowa w Irlandyi, w której przecież gwoli sławnej szwaleryi, przyszło zasmakować chcąc nie chcąc. Dopiero po takich przygotowaniach pomniejszych, po długiem, acz bezskutecznem wypraszaniu się książąt, nastąpiło pasowanie rycerskie, stawiające ich na równi ze szlachtą angielską.

W podobnyż sposób doradził Ryszardów szwagier, Zygmunt, porównać szlachtę litewską ze szlachtą polską. Ponieważ bieg wypadków nie sprzeciwiał się radzie, owszem, sam przez się przynaglał do zupełnego porównania złączonych, a tak różnych narodów, przeto zgodziły się na to obadwa ludy. Starsza w cywilizacyi Polska miała młodszej w tym względzie Litwie udzielić swoich zaszczytów cywilizacyjnych.

Treścią tych zaszczytów było w zachodniej Europie szlachectwo. Niezupełnie wszelako jednozgodne ze szlachectwem polskiem, znało ono za granicą dwa różne stopnie, t. j. szlachectwo rodowe, familijne, i szlachectwo rycerskie, indywidualnie uzyskiwane — tamto pospolitsze, to wyższe. W szlachectwie pierwszem, rodowem, rozróżniano następnie poszczególne klasy hrabiów, baronów i t. d.; pasowany zaś rycerz przewyższał swoją godnością wszystkie klasy szlachectwa rodowego, przewyższał niejako samą godność królewską, zbliżał się do kapłańskiej.

Szlachectwo polskie obchodziło się bez tej kilkorakiej różnicy. Dla niego wystarczała zasada rodowości, szlachetność familijna. Zanosiło się wprawdzie dawniejszemi czasy tu i owdzie, szczególnie w Małopolsce, na taką podwójną różność szlachectwa, t. j. na prawne rozgatunkowanie szlachty rodowej w kilka różnej godności stanów, i na obyczajową różnicę między zwyczajną szlachtą rodową a z cudzoziemska ubarwioną szlachtą rycerską, lecz po części sam duch narodu, po części też wypadki historyczne, zatarły ze szczętem tę różnicę. Już około czasów Kazimierza Wielkiego oparła się starodawna równość szlachecka cudzoziemczemu wyróżnianiu kilku różnocennych stanów szlacheckich, a zdarzone później połączenie Polski z Litwą — uzupełniło dzieło równości.

Wobec świeżo ochrzconej, a zgoła nieszlacheckiej Litwy i Rusi, zniknęły wszelkie subtelności przedziałów szlachectwa zagranicznego. Teraz, jeśli przyszło czynić jaką różnicę, tedy nasuwała się przedewszystkiem wielka różnica między nieszlacheckiem wcale bojarstwem Litwy i Rusi, a „szlachetnymi" w każdym razie panami Polski, bądź to już wyższej lub niższej szlachetności. Wzięła zatem stanowczą w Polsce przewagę jednostajność szlachectwa, nie znająca żadnej prawie różnicy stanów, nie przypuszczająca wyższości szlachectwa rycerskiego, czyli „pasowanego", ucieniowana jedynie różną kwalifikacyą do służb publicznych. Ztąd przyszło Polakom udzielić Litwie swoich zaszczytów cywilizacyjnych, nie miała Polska nic więcej do udzielenia bojarstwu litewskiemu nad szlachectwo rodowe. Zamiast, jak Ryszard Irlandczyków, udarować Litwę dostojnością rycerską, niosła jej szlachta koronna tylko klejnot herbowy.

Zato jednak towarzyszyła klejnotowi szlachectwa polskiego pewna nieznana gdzieindziej właściwość wysokiego znaczenia, nader zbawiennego wpływu na moralność samejże szlachty, t. j. staropolska wspólność herbowa. Za granicą każda rodzina miała swoje szlachectwo, czyli swój herb szlachecki tylko dla siebie samej. Przez to każda z rodzin stanowiła pewną zamkniętą w sobie, odrębną dla siebie całość; zkąd następnie całe szlachectwo cudzoziemskie kruszyło się w tysiące drobnych całostek, a wszystek stan szlachecki żył w rozdrobnieniu na tysiące maluczkich rodzin, żył w cieśni małodusznych kółek domowych.

W Polsce przeciwnie bywał każdy herb poszczególny wspólną całością wielu przeróżnych rodzin; wszystkie jednoherbowe domy, mimo niezmierną w tym względzie klęskę ostatnich lat, poczytywały się za jedną wielką społeczność familijną, przynajmniej moralnemi jeszcze węzłami spojoną z sobą. Wszystko szlachectwo krajowe skupiało się w nieliczne, ale szerokie i potężne rody, czyli „narody" jednoherbowe, a cały naród szlachecki żył w niezmiernie szerokich kołach, szerokiemi piersiami, rozległem na świat spojrzeniem.

Płynęło też dalej wielce pamiętnem następstwem z tej spólności herbowej, iż nadawanie komuś szlachectwa działo się w Polsce, nie jak za granicą, udzielaniem nowego herbu przez króla, lecz przyjęciem nieszlachcica przez kogoś z panów herbowych do pewnego dawniejszego już herbu, do pewnej dawnej społeczności jednoherbowej, a tem samem do jej dawnych związków i stosunków rodzinnych. Dzięki temu znachodził każdy nowy herbownik do razu dom i rodzinę w narodzie; akt próżnej chluby stawał się żywotnym aktem miłości; wszystką szlachtę krajową jednoczyło uczucie wzajemnego przywiązania bratniego. Co gdzieindziej służyło jedynie celom i próżnościom światowym, z tem u szlachty polskiej łączyły się uczucia religijne, pobudzające do ćwiczeń życia prawdziwie chrześcijańskiego, rozwijace ducha wzajemnej miłości i pomocy.

Owoż udzielając Litwie swoich zaszczytów zachodnio-europejskich, udzieliła ich szlachta polska właściwym sobie sposobem, przyjęła bojarstwo litewskie do swoich własnych herbów, rodzin i stosunków rodzinnych. Tem uszachetnienie Litwy w Horodle stało się czemś wielce różnem od uroczystości „debarbaryzowania" książąt irlandzkich. Tem sławna unia Horodelska okazała się dziełem prawdziwie chrześcijańskiem, zamieniła się w jeden z najwspanialszych przykładów owego bratania się wrogich przez długie lata narodów, do którego historya i chrześcijaństwo prowadzą ostatecznie cały ród ludzki.

Gdy pod jesień r. 1413 zawezwano oba narody na zjazd pojednawczy w Horodle nadbużańskiem, panował właśnie srogi pomorek w Polsce. Kto mógł, uježdżał w strony zdrowsze, w okolice odludniejsze, lesistsze. Niezmiernie wielka liczba szlachty polskiej nadciągnęła z królem Władysławem Jagiełłą ku leśnemu miejscu pojednania nad Bugiem. Również liczne zjechało bojarstwo litewskie z W. księciem Witoldem z przeciwnej strony Bugu, od Litwy. Owszem zjechali prawie wszyscy rodowici Litwini wyższego rzędu, acz nie wszystka zjechała Litwa.

Wszystka bowiem Litwa składała się, jak wiadomo, do połowy z ludności ruskiej, która po największej części nie uczestniczyła w udzielonym Litwie chrzcie katolickim, a akt nobilitacyi Litwy w Horodle był jedynie uzupełnieniem katolicyzmu na Litwie, uzupełnieniem „wiary i swobód katolickich". Przed 26-ciu laty otrzymała Litwa pogańska na korzyść duszy — łacińską wiarę zbawienia, na korzyść zaś doczesności — naprzód własność majątków, następnie wolność związków rodzinnych, wreszcie zwolnienie ze służebnictwa osobistego. Teraz przybywał ostatni z zaszczytów katolickich: klejnot szlachecki.

Jako wyłączna właściwość zachodnio-europejskiego świata i obrządku, były te wszystkie swobody i zaszczyty tylko katolikom bezpośrednio przystępne; lecz ponieważ sam katolicyzm jak najchętniej otwierał wszystkim ramiona, przeto nie były one nikomu niedostępne pośrednio. Żądać zaś od unii katolickiej w Horodle, aby ona także niekatolickie przyjęła była żywioły, jest to względnie do czasu, w którym wszystkie swobody i zaszczyty świeckie płynęły jedynie z chrześcijaństwa katolickiego — żądać sprzeczności z rzeczą. Dlatego jakiejkolwiek wyższej jeszcze doskonałości dostąpić mogło nasze dzieło horodelskie w czasach późniejszych, na teraz było ono w miarę możności najzupełniejszem.

Oprócz niezmiernie licznej szlachty podrzędnej zgromadził zjazd w Horodle ledwie nie wszystkich duchownych i świeckich panów Wielkiej i Małopolski. Zebrało się w Horodle dwóch arcybiskupów, siedmiu biskupów, dziesięciu sędziów i innych urzędników koronnych. Lubo w tak niezwyczajnie dostojnem gronie nie umiemy wskazać nikogo, coby z pewnością znajdował się także na sławnym zjeździe narodowym w Koszycach w r. 1374, niejeden przecież z obecnych w Horodle starców musiał przypominać sobie ów sławny zjazd węgierski.

Obejmując pamięcią najprzód ówczesny list swobód Ludwikowych, następnie dwa przedkoronacyjne listy przyrzeczeń i swobód Władysława Jagiełły, dalej list tegoż króla, nadający chrzestne swobody Litwie, wreszcie listy unii z r. 1401, ileż bezprzykładnie ważnych zmian narodowych obejmował taki świadek czasów Ludwikowych szczupłą miarą lat niespełna czterdziestu! Zjazd narodów w Horodle nie ustępował ważnością żadnemu z owych przytoczonych tu wspomnień.

Jako pierwsze wspólne zebranie owych zbratanych ludów, otrzymał on nową nazwę: sejm walny, czyli „sejm wielki". Obradowali zebrani panowie Polski i Litwy w salach zamku królewskiego w Horodle, gdzie jeszcze w sto kilkadziesiąt lat później widać było na ścianach poważne malowidła, przedstawiające króla Władysława Jagiełłę, W. ks. Witolda,, tudzież zasiadających kołem biskupów, wojewodów, kasztelanów, sędziów i resztę panów koronnych i litewskich.

Przypomniawszy wszystkie główne warunki zjednoczenia Polski i Litwy, przystąpiono do głównego przedmiotu, t. j. unobilitowania panów litewskich. Wielki książę Witold oznaczył tym końcem 47-miu najprzedniejszych bojarów, jako najgodniejszych szlachectwa, a tyluż różnoklejnotnych panów koronnych przyjęło ich tyluż do herbów polskich. Otrzymał w ten sposób pan Moniwid, nowo kreowany wojewoda wileński, herb Leliwę; Jawnis, nowy wojewoda trocki, Zadorę, Mignał, kasztelan wileński, Rawę; Sugnał, kasztelan trocki, herb Lisów; Niemir Jastrzębców, Hostyk Trąby, Butrym Topór i t. p.

Młoda szlachta litewska przyjęła swój nowy zaszczyt z tem samem uczuciem obojętności, z którem wszystkie świeżo „debarbaryzowane" narody występują w kołach dawniejszej cywilizacyi. Jakkolwiek wielkie i widoczne korzyści mogą płynąć z pewnej nowej przemiany społeczeństwa, pewnej nowej oświaty, zawsze dawny tryb życia, dawniejsze nawyknięcia, dawne obyczaje ojczyste, milszemi bywają sercu, nie dają porzucić się bez żalu. Jak samo chrześcijaństwo wszędzie tylko z największą trudnością, tylko po długiej walce z wstrętem swoich nowych wyznawców, rozkrzewiało się na świeżem karczowisku pogaństwa, tak i przyjętym przez Litwę zaszczytom katolickim, lubo nie na samo szlachectwo ograniczonym, lubo nader wielkiego zresztą znaczenia w życiu, bardzo chłodnie i leniwo otwierały się serca.

Innem wcale uczuciem tchnęła szlachta koronna, udzielając Litwie swoich zaszczytów. Ona znała już wysoką materyalną i moralną wartość swojego daru; ona tem chętniej dzieliła się z Litwą szlachectwem swojem, im jawniejsze były korzyści ścisłego obydwóch ludów sojuszu; w niej radość owych chrześcijańsko rycerskich propagatorów swojego trybu życia podwajała się radością z uzyskanych własnemu narodowi korzyści. Podali więc panowie polscy swój dar braterstwa z tak serdeczną miłością, z tak głęboką świadomością moralnego znaczenia chwili, jakiejbyśmy zaledwie spodziewali się po Horodle. Przekonywa o tem dokument,którym szlachta koronna poświadcza ustąpienie Litwie swoich klejnotów, a który w głównej części opiewa jak następuje:

„W Imię Pańskie, amen. Ku wieczystej pamięci. Nie doznać nikomu łaski zbawienia, kogo nie wesprze miłość. Gdyż ona jedna nie działa marnie, lecz sama sobą świecąc, kładzie koniec niezgodom, uśmierza swary, ukróca nienawiści, łagodzi waśnie, użycza wszystkim pokoju skupia, co się rozpierzchło, podźwiga co upadło, wygładza rzeczy szorstkie, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, niekogo nie obraża, kocha każdego, a ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ulęknie się gróżb niczyich. Miłość to tworzy prawa, włada państwami, urządza miasta, wiedzie stany rzeczypospolitej ku najlepszemu końcowi, udoskonala wszystkie cnoty cnotliwych, a kto nią wzgardzi, ten wszelkiego dobra pozbędzie. Dlatego my prałaci, rycerstwo i szlachta korony polskiej, chcąc pod tarczą miłości spocząć i pobożnem dysząc ku niej uczuciem, zespoliliśmy i zjednoczyli i dokumentem niniejszym zespolamy i jednoczymy nasze domy, pokolenia, rody, herby i klejnoty herbowe z wszystką szlachtą i bojarstwem litewskich ziem, mianowicie zaś z tymi, którym najjaśniejszy książę i pan, Władysław, z Bożej łaski król polski, tudzież oświecony książę i pan, Aleksander, rzeczony Witold, W. książę litewski, nadali na prośby nasze i mocą dokumentów zatwierdzili łaski swobód, wolności i przywilejów, zespoliliśmy, mówimy, i zjednoczyli, aby na wieczne odtąd czasy, mogli używać naszych herbów, i klejnotów, i godeł naszych, któreśmy odziedziczyli po ojcach

i przodkach naszych, a któremi oni cieszyć się mają w znak prawdziwej miłości, jak gdyby takowe po swoich własnych przodkach otrzymali dziedzictwem. Niechaj więc zjednoczą się z nami miłością i braterstwem, i staną się nam równymi, jak już sama wspólność wiary, praw i przywilejów porównała ich z nami. I przyrzekamy im słowem czci i przysięgi, nie opuścić ich w żadnych przeciwnościach i niebezpieczeństwach, lecz, owszem, stawać im ku pomocy w każdej potrzebie, udzielać im rady przeciw wszelkim zamachom nieprzyjacielskim i pracować usilnie u panów naszych Władysława i Aleksandra Witolda, aby coraz szerzej rozwierali dla nich rękę swojej szczodrobliwości, aby ich coraz hojniejszemi darzyli swobodami, aby nigdy nie przestawali przymnażać im łask i pożytków. Co też i przerzeczeni panowie litewskich ziem obowiązali się słowem i przysięgą czynić dla nas wzajem"...

Panowie litewscy złożyli ze swojej strony poświadczenie przyjęcia zaszczytów w znacznie chłodniejszych atoli słowach. Władysław Jagiełło i Witold wydali dokument trzeci, uzupełniający dzieło unii potwierdzeniem nobilitacyi litewskiej, powtórzeniem wszystkich dawniejszych warunków zjednoczenia Litwy z Koroną, przydaniem niektórych nowych.

W tym celu wyrzeczono jeszcze raz wieczyste połączenie obu narodów, uznano prawomocność wszelkich fundacyj katolickich, przypomniano wszystkie udzielone Litwie z chrześcijaństwem swobody, mianowicie prawo własności dziedzicznej, wolność związków rodzinnych i dziedzicznego wyposażania córek i wdów, wreszcie wyzwolenie ze służebnictwa osobistego, wyjąwszy służbę wojenną i pomoc w budowaniu zamków warownych.

Zato obowiązuje się szlachta litewska do wierności Jagielle, do jedności z koroną polską, do posłuszeństwa Władysławowoi i Witoldowi po koniec życia. W razie śmierci Witolda nie będą panowie litewscy obierać sobie W. księcia bez pozwolenia króla i narodu polskiego, a Polacy nawzajem nie obiorą sobie króla po Władysławie Jagielle, nie porozumiawszy się z Litwą.

Dla takiego wspólnego porozumienia się będą obadwa narody zjeżdżać się na wspólne sejmy w Lublinie lub Parczowie, albo gdziekolwiek indziej, ilekroć zajdzie potrzeba. Ku tem najzupełniejszemu porównaniu Litwy z Koroną zaprowadzają obaj sprzymierzeni książęta też same rządy w Litwie, co i w Koronie, t. j. stanowią dwa województwa i tyleż kasztelanij litewskich, w Wilnie i w Trokach.

Wszelkie wymienione tu swobody i przywileje „katolickie" będą służyły jedynie wyznawcom obrządku katolickiego, udostojnionym herbami szlachty polskiej.

Wszystkie trzy dokumenty horodelskie mają datę 2-go paździrenika, ostatniej, jak się zdaje, mety wiekopomnego „sejmu walnego", czyli, jak on sam z europejska nazywa się w dokumencie łacińskim, „parlament" nad Bugiem.

Zamiast tej nazwy europejskiej potrzebniejszą była Horodłu, potrzebniejszą całemu państwu Jagiełłowemu obecność Rusi greckiej. Jakoż czuli obaj zjednoczeni w Horodle monarchowie tę nieodzowną potrzebę, lecz nie pojmując innego przyswojenia sobie ludności ruskiej, jak tylko za pośrednictwem wiary łacińskiej, uznali najpierwszym ku temu krokiem — nawrócenie Rusi na obrządek zachodni.

I rozpoczęły się w istocie długoletnie odtąd komunikacye i zabiegi w tym względzie między Rzymem a naszymi książętami i Rusią. Powszechny temi czasy ruch w chrześcijaństwie zachodniem, obudzony rozpoczętym właśnie soborem konstancyeńskim, zamierzający przyprowadzić do skutku arcypożądaną reformę Kościoła zachodniego, podniecał w najwyższym stopniu apostolskie usiłowania i ambicye monarchów horodelskich. Szczęśliwy we wszystkich przedsięwzięciach, a łakomy sławy europejskiej, nie widział wyższego celu fortunie i chwale swojej nad podobneż przychylenie Rzymowi całej Rusi, jak już przychylił Litwę. Karcony niekiedy przezwiskiem „fautora syzmatyków", podejrzewany o skłonności husyckie, z urodzenia pobłażliwy i umiarkowany, gotów on był teraz dla okazania swojej żarliwości dla Kościoła zachodniego dopuścić się istnych gwałtów względem obrządku swojej ruskiej matki Julianny. Jedynież w chęci takich popisów przed światem zagranicznym działy się teraz niekiedy kroki nieznanej dotąd samowolności, które za bardzo szkodliwy przykład posłużyć mogły czasom następnym.

Właśnie w poblizkiej sejmowi horodelskiemu porze przejeżdżał Jagiełło przez miasto Przemyśl, mając w towarzystwie swojem kilku dostojnych cudzoziemców, mianowicie arcybiskupa Strygonia, Jana, i Krzyżaka, Michała Kuchelmeister, przyszłego mistrza zakonu. Mogli oni rozgłosić szeroko chwałę apostolstwa Jagiełłowego, gdyby teraz na ziemi ruskiej spełniony został w ich oczach jakiś czyn uderzającej opieki nad Kościołem łacińskim, uderzającego pognębienia starodawnej wiary krajowej. Dał się uwieść tej pokusie Jagiełło i dla zyskania poklasku cudzoziemców rozkazał, aby uboga dotąd katedra rzymska w Przemyślu zajęła miejsce okazalszej cerkwi stołecznej ruskiej. Wyrzucono więc duchowieństwo greckie z dotychczasowej głównej świątyni w zamku, która dla naocznego przekonania uradowanych gości zachodnich, poświęcona została natychmiast na katedrę łacińską. W zapale rugowania ołtarzów ruskich nie przebaczono żadnemu z zakątków cerkwi, narażając się na słuszną niechęć krajowców, której żadne pochwały zagraniczne nie wynagrodziły chwalonym.

Nawet niezmiernie obojętniejszy w tej mierze Witold, uległ obecnie powszechnemu prądowi religijnemu, powszechnemu prądowi katolicyzmu rzymskiego. Za wspólnem staraniem Jagiełły i Witolda nastąpiło w kilka miesięcy po sejmie horodelskim, w ziemie z r. 1413 na 1414, nawrócenie pogańskiej dotąd Żmudzi na chrześcijaństwo łacińskie, utwierdzone założeniem osobnego tamże biskupstwa, ufundowaniem potrzebnej liczby kościołów i t. d.

Gdy łagodne środki apostolstwa Jagiełłowego nie dość szczęśliwy na Żmudzi przyniosły skutek, gdy zbuntowani wkrótce Żmudzini wygnali biskupa i kapłanów łacińskich, kazał surowy Witold ściąć sześćdziesięciu Żmudzinów, „aby bezbożność żmudzka nie zdała się jego winą". Srodze przyciśnione pogaństwo musiało zaprzeć się Żnicza, a stołeczna niegdyś ziemia pogańska, najuporczywsza obrończyni Perkuna, Żmudź, przepełniona odtąd chrześcijańskiemi świątyniami, kapliczkami i figurami, zamieniła się z czasem w „krainę krzyżów przydrożnych".

W tej samej porze wyprawił Witold na sobór konstancyeński całe grono biskupów i księży greckich w celu przyjęcia unii łacińskiej. Władysław Jagiełło zaś pisał jednocześnie zgromadzonym w Konstancyum dostojnikom kościelnym, iż „gdyby nie wielorakie zawichrzenia wojenne, byłby już dawno wszystkie narody ruskie przywiódł do posłuszeństwa świętemu Kościołowi rzymskiemu". W coraz wspanialszem rozpostarciu się łacińsko obrządkowych zamysłów donosili już obadwaj monarchowie horodelscy ojcom soboru konstancyeńskiego, iż jeden z nich, Jagiełło, spodziewa się niebawem złacinnić samychże Greków byzanckich, a drugi, Witold, ochrzcić na łacińską wiarę — Tatarów.

Owszem, marzono wcale o wspólnem przez Polskę, Danię, Węgry i Moskwę wydarciu ziemi św. niewiernym i połączeniu jej z chrześcijaństwem zachodniem. Polityczne i religijne połączenie Polski z Litwą otworzyło widok podobnemuż pojednaniu najdalszych kończyn świata.

Ale Opatrzność inaczej pokierowała wypadkami. Zamierzona w Konstancyum

reforma duchowieństwa rzymskiego niezupełnie przyszła do skutku. Wysłani tam przez Witolda biskupowie wschodnio-litewscy oświadczyli nakoniec, iż wolą zostać przy swoim dawnym obrządku. Nieszczęśliwa nauka Hussa przejęła zachodnie chrześcijaństwo tem większą niechęcią ku wszystkim innowiernym plemionom, na tem dłuższy ciąg wieków utrudniała dzieło jedności chrześcijańskiej. Odsłoniony ochrzceniem Litwy widnokrąg zespolenia ludów i wiar — grubemi omroczył się chmurami.

W zamęcie poważnionych umysłów nie ustała wprawdzie wrodzona chrześcijaństwu dążność jednania, lecz roznamiętnione wypadkami głowy i serca popadły w pokusę i niebezpieczeństwo użycia materyalnych środków do dzieła, które tylko moralną urasta siłą. Grzeszna zapamiętałość takiego targnięcia się orężem śmiertelnym przeciw nieśmiertelnemu duchowi zagroziła ciężką karą zapamiętaniu. Pod tym względem przyszło dziełu braterstwa Polski z Litwą obawiać się jeszcze niejednej chmury, niejednej próby w czasach następnych.

W ogólności, połączenie tak przeciwnie ucharakteryzowanych stron świata nie mogło obejść się bez wzajemnego oddziaływania jednej na drugą. Jak z europejską ucywilizowana Polska niosła w pewnej mierze zachodnią, chrześcijańską oświatę Litwie, tak nawzajem z oryentalnego, niosła swoje niechrześcijańskie zwyczaje i narowy. Pomiędzy temi nieprzypominamyż sobie z obrazu pogaństwa litewskiego mnogich rysów społecznej i moralnej niedoli, które przy dłuższej z sobą spółce obudwóch połączonych narodów nie mogły pozostać bez pewnego wpływu na bratnią Polskę?

(Dokończenie nastąpi.)

Sejmik Spółek.

Sejmik Spółek to coroczny przegląd naszych sił ekonomicznych, i dlatego niesłychane budzi zainteresowanie, — nie tylko między setkami obecnych delegatów i gości, ale także między setkami tysięcy czytelników, czytających sprawozdania prasy.

Zainteresowanie to nie ogranicza się na nasz zabór, — z innych zaborów także przybywają goście, by posłuchać naszych obrad i poznać rezultaty naszej pracy spółkowej, w której zabór nasz najwięcej zebrał doświadczeina. — Jak po dawniejsze lata, tak i w tym roku widzieliśmy działaczy społecznych, kierownikow wielkich organizacyj spółkowych, dyrektorów banków, profesorów akademij z innych zaborów. Nie witano ich hucznie, bo tego nam nie wolno, ale po cichu, od ust do ust podawano sobie wiadomość o tem, i serca delegatów naszych napełniały się dumą, że ta nasza mozolna codzienna praca spółkowa znajduje uznanie w szerokim świecie.

W takim nastroju dumy pewnej i powagi odbywają się zawsze obrady sejmikowe. Nie słyszy się tam ani zaciekłych kłótni, ani pustych oratorskich popisów, lecz treściwe, twarde padają zdania, na każdym kroku znać wyrobienie ludzi, którzy z pracą się zżyli.

Ci, którzy pracy tej nie znają, twierdzą nieraz, że obrady sejmikowe są nudne, są ospałe, że cała praca spółkowa idzie już utartem łożyskiem, — że sejmiki, to już tylko zwyczaj, który się zachowuje, a nie instytucya, która ma całą naszą pracę ekonomiczną naprzód popychać.

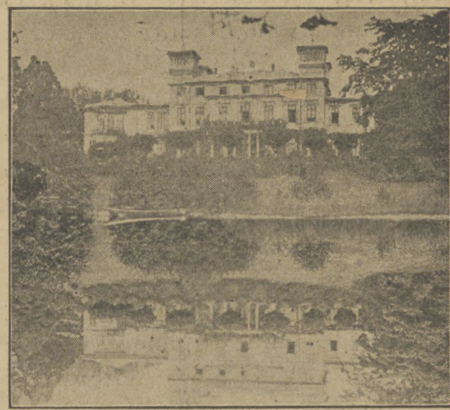
Tak sądzić mogą jedynie ci, co tylko według pozorów sądzą. Kto się interesuje bardziej naszem życiem gospodarczem, ten widzi i ten ciągły rozwój w naszej organizacyi spółkowej. Oczywiście, że nie występuje się corocznie na Sejmiku z jakimś nowym karkołomnym projektem, — ale stale krok za krokiem kroczy naprzód. To o naszej organizacyi powiedzieć możemy, że nie przyprawiła jeszcze społeczeństwa o żadną poważniejszą stratę.

Ztąd też to bezgraniczne prawie zaufanie do tej organizacyi. Prawie 122 tysięcy członków liczy nasza organizacya spółkowa i poza tem prawie 209 tysięcy deponentów. Setki tysięcy rodzin związane są z naszą organizacyą — za kilka lat nie będzie prawie rodziny polskiej, której członek jaki nie byłby członkiem lub deponentem spółki polskiej.

Organizacya nasza jest wielką i potężną, ale ponieważ cały świat prze naprzód, dlatego i nam stać nie wolno. Wytężyć nam trzeba wszystkie siły, ażeby coraz dalej kroczyć. Do tej wspólnej pracy stanąć winni nie tylko delegaci, którzy obecnie obradują, nie tylko wszyscy członkowie i klienci spółek, ale i ci wszyscy, którzy z spółkami jeszcze nie pracują, — słowem całe społeczeństwo.

Gdy numer niniejszy pójdzie pod prasę, obrady toczyć się jeszcze będą w całej pełni. Zasyłamy im: Szczęść Boże w owocnej pracy dla dobra społeczeństwa!

O przebiegu obrad doniosą gazety codzienne. My czytelnikom naszym dokładnego przebiegu nie będziemy podawali, natomiast podamy w przyszłych numerach szereg spraw najważniejszych, o których na obecnym sejmiku obradowano. Zaznajomimy czytelników naszych z niemi jak najdokładniej, abyśmy wszyscy jak jeden mąż stanęli do pracy nad podniesieniem dobrobytu w społeczeństwie naszem.



Pałac Potockich w Krzeszowicach.

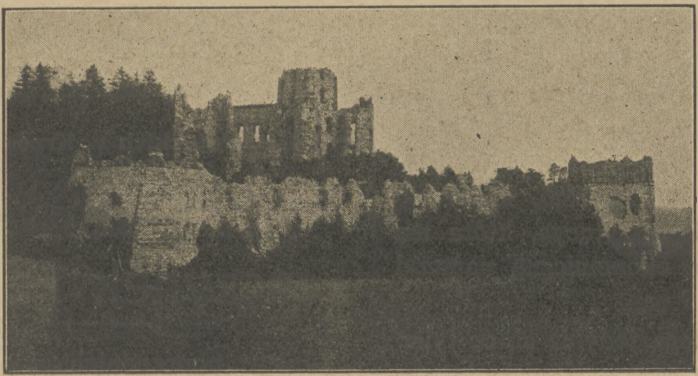
Krzeszowice, Tenczynek i Czerna.

Już w poprzednich opisach wspomnieliśmy o pięknościach pogórza krakowskiego, jednak niezaprzeczenie do najbardziej uroczych należy część tego pogórza koło Krzeszowic. Same Krzeszowice leżą w niepozornej dolinie i nie odznaczają się pięknością położenia, natomiast okolica jest przepiękna i urocza. Krzeszowice, mała osada do ostatnich czasów, wzrosła dopiero z początkiem 19-go wieku, gdy odkryto tutaj kąpiele siarczane i gdy Potoccy odziedziczywszy klucz tenczyńskich dóbr drogą wiana po Lubomirskich i Czartoryskich w Krzeszowicach pobudowali pałac wspaniały i założyli obszerny park. Do dziś dnia Krzeszowice są siedzibą władz i urzędów rozległych dóbr klucza krzeszowickiego, którym zarządza liczna administracya. Na wzgórzu wznosi się pałac Potockich zbudowany w drugiej połowie XIX. w., był siedzibą najwybitniejszych z rodu Potockich, Alfreda i Adama, wreszcie Andrzeja, zanim tenże oddał się w zupełności służbie publicznej, aż padł na posterunku, jako namiestnik, zastrzelony przez Rusina Siczyńskiego. Pałac otoczony jest wspaniałym parkiem, założonym w 1840 r., jak świadczy o tem ogromny kamień położony na tę pamiątkę wśród cieniu drzew parkowych. Park zdobi wiele oryginalnych drzew, staw, klomby wspaniałe i aleje grabowe, wreszcie kopczyk niewielki, wzniesiony w rogu parku, skąd roztacza się cudny widok na okolicę. Sam pałac zbudowany wcale skromnie, w bezpretensyonalnej szacie, w jakiej budowano wszystkie pałace w połowie XIX. stulecia; otacza go z dwóch stron obszerna tarasa, zaopatrzona w balustradę kamienną. Zamek jest letnią rezydencyą

Potockich, podczas gdy główna ich siedziba znajduje się pod Baranami w Krakowie, obecnie jest zamieszkany przez lato zawsze przez wdowę wraz z dziećmi, a w tym roku odbył się tu wspaniały ślub i wesele najstarszej córki z ks. Czartoryskim. W zamku wiele dzieł cennych z zakresu sztuki i wiele pamiątek historycznych.

Dodać należy, że wstęp do parku dla publiczności jest zupełnie wolny. Dokoła parku znajdują się olbrzymie ogromny kamień grobowy kryje jego zapomniany grób.

Obok parku wznosi się nowy, niespełna sto lat liczący kościołek, wzniesiony staraniem i kosztem Potockich, w stylu gotycko-niemieckim. W nim groby rodzinne Potockich, oraz tablice pamiątkowe ku czci śp. Andrzeja Potockiego, położone przez urzędników administracyi i przez służbę dworską. Krzeszowice są siedzibą władz pomniejszych rządowych, posiadają dwo-



Ruiny zamku tenczyńskiego.

ogrody warzywne, owocowe, cieplarnie, a wśród nich porozrzucane domy i domki zarządu dóbr z różnych epok. W dawnym pałacu noszącym na sobie ślady stylu Empire, mieści się dziś administracya, gmach, który ongiś był dworem, wyglądający na budynek jeszcze z XVIII. stulecia, zamieszkany jest przez plenipotenta dóbr Potockich. A dalej stare domki parterowe, z ganeczkami, to zabudowania dworskie z dawnych czasów, opasujące dokoła park, swym wyglądem przypominając czasy dawniejsze, tuż przy parku wznoszą się też dawne łazienki, po których niewiele pozostało. Dzisiejsze łazienki bowiem na małą skalę tylko są prowadzone. Ale Krzeszowice słynęły z początkiem XIX. w., kiedy to najwybitniejsi ludzie przyjeżdżali tu szukać poratowania zdrowia. Za czasów Księstwa Warszawskiego tutaj przybywali dygnitarze państwowi, podczas powstania 1831 r. Krzeszowice służyły, jako dogodny zaciszny zakątek, dla rannych, którzy rządowym szpitalom polskim nie chcieli zajmować miejsca i sami się leczyli. To też tutaj, jak też w okolicy znajdziesz sporo mogił zmarłych bohaterów z pod Wielkich Dembów, Grochowa, Ostrołęki i w. i. pól chwały oręża polskiego. Tutaj żył na dworze Potockich, w zacisznym ustroniu generał Chłopicki, dyktator z 30 r., skoro za swe odporne zachowanie się wobec rewolucyi krakowskiej 46 r. nie mógł znieść ze strony rodaków uszczypliwych docinków i z pod Baranów przeniósł się tutaj, aby w 56 r. dokonać tu żywota. Leży on pochowany na cmentarzu krzeszowickim, a rzec kolei północnej. Koło dworca znajdują się obszerne stajnie koni wyścigowych, w których tak bardzo kochał się zawołany jeździec hr. Andrzej Potocki. Krzeszowice w 1846 r. przy pomocy młodzieży z Królestwa, która tu swobodniej mogła przebywać, niż w ówczesnem wolnem mieście Krakowie, podniosły sztandar bojowy i wypędziwszy załogę straży skarbowej austryackiej, oraz zająwszy kasę, przyłączyły się do powstania krakowskiego. Skromny, zwycięski oddziałek po dokonaniu swego dzieła, podążył ku Krakowu, by połączyć się z powstaniem, po to, by za parę dni wraz z całą siłą, nie przekraczającą tysiąca głów, przechodzić tędy, ku granicy pruskiej, celem złożenia broni. Krzeszowice od 31 r. tj. od stłumienia powstania w Królestwie, były aż do 46 r. ustawicznie niepokojone przez wojska rosyjskie, które przy lada sposobności granicę przechodziły, niby to dla pilnowania porządku w Rzeczypospolitej krakowskiej i stały załogą dość długo, nadużywając praw silniejszego na miejscowej ludności i dobrach.



Klasztor OO. Karmelitów bosych w Czernej.

Tuż koło stacyi na wyniosłej górze zwanej Prochownią, znajduje się tablica, którą wznieśli komisarze graniczni austryacko-pruscy, wytykający po trzecim rozbiorze Polski w roku 1796 krótkotrwałą granicę austryacko-pruską, która aż tu podchodziła. Na tę pamiątkę smutną zatknęli oni w tem granicznem miejscu tablicę ze swemi nazwiskami.

W okolicy jest kilka uroczych, lesistych miejscowości, które są wcale licznie odwiedzane przez mieszkańców Krakowa i służą za letniska.

Do tych należą w pierwszym rzędzie Czatkowice, bogate w źródła zimne. Idąc doliną rzeczki Krzeszówki, wchodzimy w urocze wzgórza, przypominające w skromnej mierze nasze urocze Pieniny, i zbliżamy się ku Czernej. O coś piękniejszego, coś milszego nad tę małą, ale tak milutką dolinkę w okolicy Krakowa trudno naprawdę. Woda płynąc po pochyłości spada z szumem i łoskotem, przedziera się przez skaliste wyboje, to znów niknie wśród zieleni traw, lub płynie spokojnie pośród naniesionych ulewami kamyków. Po obu stronach wznoszą się lasem okryte góry, czasem bardziej strome, lub występujące skalisto nad wijącą się wzdłuż strumyka drogą. Naraz wśród zakrętu wyłania się przed naszemi oczami wspaniały obraz. Z zacieśnionego już wąwozu, sterczącego skalistemi ścianami, na których pobożna ręka umieściła wizerunek Królowej Jasnej Góry, wyłaniają się przedewszystkiem arkady potężnego niegdyś mostu, wyniosłemi łukami łączącego dwa przeciwległe wzgórza, most dziś już w ruinie, tylko arkady wyniośle sterczą, ponad most biegnie ścieżka stromo pod górę, na której szczycie z pośród wierzchołków drzew błyszczą białe mury klasztoru Karmelitów bosych. Tu i ówdzie widnieją w promieniach słońca stare zwaliska murów, które obszernem, bo przeszło czterokilometrowem ramieniem opasywały klasztor i pustelnię św. Eliasza. Na górze tuż nad naszemi głowami sterczą zwaliska jakiejś budowli wśród lasu. To albo domek samotnego pustelnika, lub obronny zameczek. Podobny zameczek niby rondel bramy Floryańskiej zamykał drogę do mostu, tak, że tylko przez jego wrota można było dostać się na most, a następnie do klasztoru.

Przy stromej drodze kilka kaplic starych z figurami Męki Pańskiej. Dochodzimy powoli do szczytu, na którym stoi klasztor. Wchodzimy przez kamienną bramę barokową, na której widnieje tablica marmurowa, głosząca o fundacyi tego świętego miejsca. Klasztor fundowała Agnieszka z Tenczyń-

skich Firlejowa, a dobra należące obecnie do tego klasztoru, należały zapewne do Tenczyńskich. Do obszernych włości klasztornych dodano klasztorowi jeszcze obok czterech dworskich, piąty dzień robocizny chłopskiej, czego jednak po trzynastu latach zakonnicy się zrzekli. Fundacya klasztoru nastąpiła w 1631, a dopiero w 1640 r. ukończono i poświęcono kościół, klasztór nie był skończony jeszcze, albowiem budowa jego wznoszona na pochyłościach wzgórza postępowała w trudnych warunkach bardzo powoli. Pracę tę przerwał najazd Szwedów. Przeor klasztoru, gdy rozgłos nieszczęścia padł na okolicę, zebrawszy wszystkie kosztowności, droższe sprzęty kościelne, co bogatsze i cenniejsze dzieła biblioteki klasztornej uwiózł je do Krakowa, i



Dzwonnica w Tenczynku.

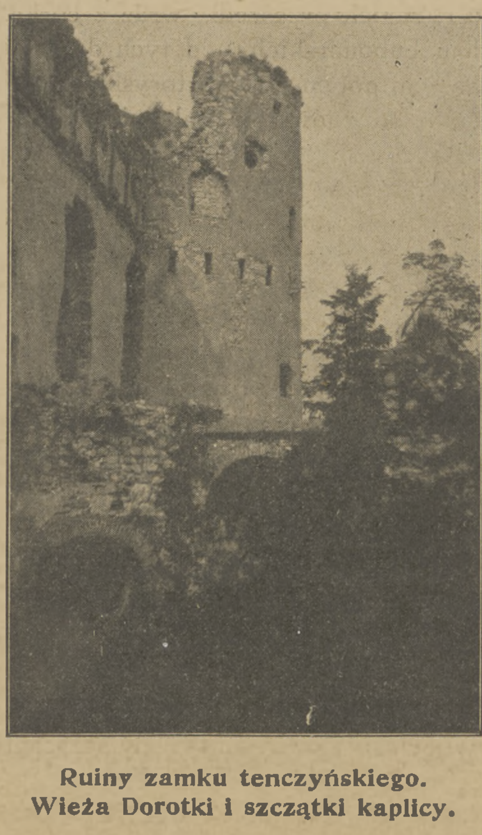
tu schował w podziemiach klasztoru karmelitańskiego św. Marcina na Grodzkiej, (dziś kościół luterski). Sam zaś ze srebrem schronił się do Wiednia. W klasztorze pozostawił trzech zakonników, zaś dwóch wysłał do Krakowa dla strzeżenia zamurowanych skarbów. Tymczasem Szwedzi zajęli Kraków, przy ogólnym rabunku znaleziono skarby karmelitańskie, które cennością zachwycały. Klasztor w Czernej też nie uchronił się od zniszczenia i spustoszenia. Przysłany oddział szwedzki niszczył doszczętnie klasztor i jego dobra, wybierając żywność dla wojska stojącego w Krakowie. Oczywiście, że i tu Szwedzi nie omieszkali splądrować klasztoru. Zrabowane skarby w podziemiach kościoła św. Marcina jednak zwrócono Karmelitom za wstawieniem się zdrajcy Radziejowskiego, który Szwedów do Polski sprowadził. On to wyprosił u króla darowanie tego skarbu i w ten sposób klasztor odzyskał utracone przedmioty.



Zamek tenczyński od zachodu po odrestaurowaniu częściowem.

Długo jednak zakonnicy czuli na sobie rękę najezdcy, albowiem w okolicy Paczółtowic na wzgórzach Czatkowic założył król szwedzki obóz dla swego wojska, które było istną plagą dla okolicznej ludności. Ślady obozu tego widzieć można do dnia dzisiejszego na wzgórzu zwanem Bartlowa. Nim Szwedzi ustąpili, już musiał otwierać klasztor wrota drugiemu nieproszonemu gospodarzowi na ziemiach polskich, a mianowicie Rakoczemu, który na czele wojska węgierskiego wpadł do Polski. Wreszcie dla pomocy królowi Janowi Kazimierzowi nadciągnęło wojsko austryackie, które przez dwa lata dobrze się znów dało we znaki zakonnikom św. Eliasza. Gdy przecież nastał spokój wzięto się do dokończenia dzieła, a przedewszystkiem do usunięcia śladów zniszczenia, o jakie przyprawiła zakątek ten ręka tylu najeźdźców.

Wykuto głęboką studnię, rzucono wspaniały wiadukt strumykiem świętego Eliasza, celem połączenia się ze swemi dobrami w Paczółtowicach, otoczono całą pustelnię wyniosłym, kilka kilometrów w okół ciągnącym się murem ze względu na bezpieczeństwo, albowiem po tylu wojnach namnożyło się szczególniej w górach i w odludziach wiele opryszków, a nadto reguła wymagała odosobnienia.



Ruiny zamku tenczyńskiego. Wieża Dorotki i szczątki kaplicy.

Kościółek sam nie wielki, zbudowany w skromnym stylu barokowym, robi smutne wrażenie, z powodu czarnego marmuru, którym wyłożone są ściany i ołtarze. Klasztor tworzy czworobok, z frontu, od stoku góry jest on jednopiętrowy, z tyłu, od spadku trzechpiętrowy wskutek pochyłości góry. W klasztorze na korytarzach i w refektarzu kilka starych obrazów, fundatorów i dobrodziejów klasztoru oraz świętych i znakomitych Karmelitów, wreszcie portret fundatorki. Dzwonnica, raczej wieża, stojąca poza zabudowaniami, połączona jest pomostem z kościołem, gdyż pochyłość gruntu innego połączenia stworzyć nie pozwoliła. W ogrodzie klasztornym kilka nagrobków starych mieszczan, lub obywateli sąsiednich, między nimi nagrobek generała wojsk polskich Błędowskiego, który otrzymawszy wiele ran w bitwie pod Białołęką, stracił nogę od kuli armatniej, przybył do Krzeszowic na kuracyę i tu zmarł 25-go lipca 1831 r. Przyjaciel jego, generał Stanisł. Kicki sprawił mu pogrzeb i wystawił pomnik. Napis częściowo zatarto z polecenia komendanta wojsk rosyjskich dążących tędy na Kraków w 1836. Pustelnia w Czernej roi się od częstych wycieczek mieszkańców Krakowa, ze względu na urok, jaki tak dolinka, jak i cały ten cichy zakątek posiada. Jednak nie w tym stopniu, jakby się tego spodziewać należało.

Na ten zakątek powinny zwrócić uwagę z jednej strony tow. sportowe, z drugiej humanitarne, któreby tu czy dla cierpiących, czy łaknących odpoczynku, czy wreszcie dla dziatwy pobudowały schroniska. Ze zdziwieniem piszący spostrzegł, że jedynymi prawie gośćmi, których w tym roku w tym czarownem miejscu spotkał, byli Niemcy, którzy się wygodnie i rozkosznie zagnieździli, oceniając piękność i zdrowotność tego miejsca; również latował tu jakiś pensyonat żeński niemiecki, tylko naszych brakło.

Zupełnie odmienną w widoki, położenie i przez naturę uposażoną jest okolica Tenczyna. Czerna położona jest na północ od Krzeszowic, Tenczyn zaś na południowy zachód. Droga prowadzi przez odsłoniętą równinę, ku wyniosłej, skalistej, lasem okrytej górze. Ponurość, dzikość i jakaś jałowość bije z otoczenia, jedynie w oddali wznoszą się kłęby dymu. To browar tenczyń-

ski, a dalej szyby, które czarne dyamenty zaczynają już tu dobywać. Kopalnie te do niedawna należące do Potockich, obecnie tworzą tow. akcyjne, do którego i Potoccy należą, częścią są własnością żydów pruskich, już aż tu swe zagony zapuszczających. I niezaprzeczenie, że okolica ta stanie się w przyszłości nowem siedliskiem życia, stanie się środowiskiem ruchu kopalnianego i fabrycznego, jeśli się zauważy, że tuż pod Krzeszowicami w Miękini Prusacy eksploatują znakomite łomy porfiru, które znachodzą pokup w odległych stronach Europy, a za które miasto Kraków, obecnie drogo płacić musi, bo niechciało swego czasu, gdy mu ofiarowano kupno tych kamieniołomów, ich nabyć. Jest jeszcze w okolicy kilka fabryk w rękach polskich zostających, rozwijających się z mniejszem, lub większem powodzeniem. I to wszystko dzieje się w oczach ogromnej fortuny właścicieli, którzy, gdyby chcieli mogliby wszystko za jednym zamachem zagarnąć i stać się panami jeśli nie milionowej fortuny, bo nimi są dzisiaj już, to w każdym razie miliardowcami, — gdyby tylko chcieli...

Droga wiedzie przez wieś Tenczynek, wieś zasobna i bogata, w środku wsi leży browar Potockich, głębiej stary browar, niedaleko kościół mało charakterystyczny, z malowidłami Matejki, obok starożytna dzwonnica, oraz stara typowa polska plebania.

Na horyzoncie czernią się ruiny zamku, w oddali, pustynnej, dzikiej. Przez las dochodzimy do ruin, dążąc pod górę, stromą i wyniosłą, wreszcie stajemy przed bramą, umieszczoną w baszcie, na której widnieją herby Tenczyńskich.

Od miejscowości Tanczyn, Tenczyn, a także jak nazwę tę napotykamy w starych dokumentach, Thanczyn, wziął i zamek tam zbudowany swoje imię. Według najdawniejszych twierdzeń, osiedlił się jeszcze w przedhistorycznych czasach, na obszernym szmacie ziemi, nad brzegami Wisły, potężny ród, o zawołaniu Starża, a o znaku bojowym Topór. Ród ten przeniósł w późniejszych czasach swe siedziby w inne strony kraju, a tylko jedna gałąź jego usadowiła się w Morawicy obok Tyńca, a przybrawszy nazwę od miejsca zwanego Tenczyn, pisała się Starżamm z Tenczyna, a następnie Tenczyńskimi. Pierwsze ślady o istnieniu zamku tenczyńskiego odnoszą się do roku 1319, ale dokument wcześniejszy świadczy, że już przed tym rokiem była tam albo zorganizowana osada, lub może i obronna jaka warownia, bo król Władysław Łokietek obdarzając przywilejem klasztor w Sulejowicach, podpisał odnośny dokument: „in Thanczin, die 24 Novembris 1308," podczas pochodu swego przeciw księciu na Głogowie. Otóż Nawój w Morawicy, wojewoda sandomierski, a syn Żegoty wojewody krakowskiego, głowy rodu Starżów, rozpoczął w 1319 r. budowę obronnego zamku na wzgórzu tenczyńskiem i wzniósł warowną wieżę, zwaną od niego Nawojową, która to nazwa przechowała się po dzisiejsze czasy. Syn Nawoja, który pierwszy przybrał nazwisko Tenczyńskiego, Jędrzej, kasztelan krakowski, podjął w 1330 r. rozpoczęte przez ojca dzieło i dobudował do istniejącej wieży dalsze części warowni. Daty te podaje Niemcewicz w swej powieści „Jan z Tenczyna", powołując się na tablicę umieszczoną niegdyś nad bramą wjazdową, na której miały one być wykute. Budowę ukończył całkowicie Jan, syn Jędrzeja, także kasztelan krakowski. Ten to Jędrzej Tenczyński walczył z Jagiełłą pod Grunwaldem, a po odniesionem zwycięstwie, osadził w Tenczynie znakomitszych jeńców krzyżackich z polecenia Jagiełły. Zamek, który synowie Jana między siebie podzielili, znacznie podupadł i w połowie szesnastego wieku groził ruiną. Przywrócił mu dawną świetność dopiero Jan z Tenczyna, zamieniając zamek gotycki na renesansowy. Musiał zamek po tej przebudowie wspaniale wyglądać, gdyż mamy liczne dowody w opisach o wspaniałości tegoż zamku. W r. 1638 wygasła rodzina Tenczyńskich na Janie Tenczyńskim, którego portret współczesny znakomitego pędzla dochował się w pałacu krzeszowickim. Zamek wniosła córka Tenczyńskiego w wianie Opalińskim, a ci, gdy wygaśli, w 1700 r. zamek przeszedł wraz z córką w dom Lubomirskich, od tych do Sieniawskich, potem do Czartoryskich, potem wrócił znów do Lubomirskich, a przez nich drogą również małżeństwa do Potockich, w ręku których od końca w. XVIII. pozostaje. Podczas najazdu szwedzkiego w październiku w r. 1655, poddał się zamek tenczyński po krótkiem oblężeniu dowódcy szwedzkiemu Koenigsmarkowi, który trzymał go w posiadaniu aż do 18-go lipca 1656 r., a ustępując nie dotrzymał warunków kapitulacyi, bo załogę wymordował, a zamek zniszczył, rozbijając mury i baszty w poszukiwaniu za ukrytemi tam skarbami królewskiemi, które według obiegających wieści miał ukryć w Tenczynie na rozkaz królewski Jerzy Lubomirski. Wieść taką rozpuścił Lubomirski rozmyślnie, aby odwrócić uwagę Szwedów, a skarby ukrył tymczasem w Lubowli na Spiżu. Zawiedzeni w nadziejach Szwedzi podpalili zamek opuszczając go i zrabowali doszczętnie. Za niedotrzymanie umowy, Koenigsmark stanął przed sądem wojennym, na który podczas przesłuchania się porwał, za co go rzucono do ciemnicy i miał przypłacić gardłem, gdy na wieść o urodzeniu się królowi syna został uwolniony. W r. 1710 grasowało w Tenczynie i okolicy morowe powietrze. Odbudowany w części po najeździe szwedzkim był zamieszkiwany zamek do 1768 r., w którym to roku zgorzał od pioruna. Z pogorzeli pozostała jedynie kaplica, jednak w tak opłakanym stanie, że wszystkie aparaty i ołtarze przeniesiono do kościoła w Tenczynku, przyłączając do tegoż probostwa wszystkie bogate dotacye i prebendy kaplicy.

Zamek wybudowany w gotyku rychło przekształcił się w renesans i był jednym z najwspanialszych zamków w Polsce. Droga wiodła pod górę przez podegrodzie i zwodzony most nad rowem do wyżej wspomnianej bramy, umieszczonej w baszcie. Tędy wstępowało się przez krytą sień, nad którą wznosiły się izby dla straży na zewnętrzny dziedziniec, który wiódł dokoła wewnętrznych murów do Nawojowej wieży. Tu drugim pomostem dostawało się koło kaplicy do wewnętrznego dziedzińca, zupełnie przypominającego Wawel. Z trzech stron wznosiły się trzy skrzydła zamku, rozwierając się ku południowi, wsparte na piętrowych galeryach z arkadami w stylu włoskim, zamek posiadał wspaniałe komnaty zdobne na wewnątrz i zewnątrz w liczne freski i ornamentacye, których szczątki dzisiaj możemy oglądać nawet i podziwiać. Sam zamek od północy przypierał do muru zewnętrznego i zbrojny był w trzy baszty, oprócz Nawojowej, z których jedna nosiła tradycyjną wszystkich zamków polskich nazwę Dorotki, od zamkniętej nieszczęśliwej dziewicy Dorotki. Kaplica wystawiona wraz z zamkiem w stylu gotyckim, odnowiona za Jana Tenczyńskiego, a następnie przebudowana przez Agnieszkę z Tenczyńskich Firlejową, fundatorkę klasztoru w Czernej, i wyposażona przez nią leży w takiej samej ruinie co i zamek. Ostatnio nadwątlone i walące się mury, dzięki inicyatywie tow. miłośników zabytków Krakowa i grona konserwatorów zostają uchronione od zagłady. Rodzina Potockich przystąpiła do zakonserwowania ruin, pokryła dachem baszty, podtrzymała mury......

Swietności jednak tym murom, które tu i owdzie, jakby na świadectwo

swej chwały i wspaniałości błyszczą jej resztkami już nic przywrócić nie zdoła.

S. W.

Na widowni.

Przez okrągły tydzień uwagę opinii niemieckiej trzymał na uwięzi *zjazd stronnictwa socyalno-demokratycznego w Jenie*. Był to pierwszy zjazd po śmierci wielkiego przywódcy socyalistów Bebla, którego autorytet jednoczył dotychczas i łagodził rozbieżne prądy i kierunki w partyi. Trudno było sobie wyobrazić, jak sobie socyaliści poradzą w Jenie bez Bebla, tem bardziej, że już na długo przed zjazdem dwa wrogie sobie odłamy „umiarkowanych" i „radykałów" w łonie partyi zaciętą ze sobą toczyły walkę i na zebraniach licznych i na łamach prasy.

A jednak obrady spokojniej się toczyły, niż przypuszczano. Nie obyło się wprawdzie bez ostrych starć, w których wojownicza zawsze i ultraradykalna Róża Luksemburg prym trzymała, ale porządku i spokoju nie zakłócono. Zjazd wykazał, że t. zw. umiarkowani, którzy dążą do pozytywnej, praktycznej pracy na gruncie stosunków teraźniejszych, mają w partyi stanowczą większość nad radykalnymi „rewolucyonistami". Widocznie przejadły się niemieckim masom robotniczym frazesy rewolucyjne, któremi szafują radykałowie na lewo i prawo, nie zaznaczając zresztą najmniejszej chęci ku temu, aby od słów przejść do czynów.

Zarówno w sprawie strejku masowego jak w sprawie stanowiska frakcyi socyalistycznej w parlamencie wobec podatków na przedłożenia wojskowe, przeszły rezolucye zarządu, zmierzające do pokierowania partyi na tory stopniowych zdobyczy, podczas gdy zasada „wszystko albo nic", reprezentowana przez radykałów, została przez większość odrzuconą. Słowem partya przewrotu przemienia się powoli w partyę konstytucyjną, zdążającą w drodze walki parlamentarnej do ostatecznych swych celów.

Nas Polaków bezpośrednio obchodzi uchwała zjazdu, znosząca odrębną organizacyę *Polskiej Partyi socyalistycznej* w Prusiech. Partya ta, która z wyjątkiem niektórych powiatów na Śląsku — dość suchotniczy wiodła żywot, nie mogła się jakoś zgodzić z kierującemi czynnikami niemieckiego socyalizmu, z którego łaski i funduszów egzystowała. Różne rokowania i układy porozumiewawcze nie doprowadziły do celu, aż nareszcie znudziło się niemieckim „towarzyszom" płacić pieniądze na polską odrębną organizacyę. Uchwała zjazdu w Jenie jest bodaj wyrokiem śmierci dla Polskiej Partyi socyalistycznej w Prusiech, gdyż o własnych siłach się ona nie ostoi. Dla polskiego społeczeństwa zaś jest ona pobudką do tem ostrzejszej walki z socyalizmem, gdyż odtąd polscy robotnicy w ogólno-niemieckiem morzu socyalistycznem na nieuniknione i niechybne niebezpieczeństwo germanizacyi będą narażeni.

Poza różnemi zjazdami zresztą mało jeszcze znać w Niemczech ożywienia politycznego, które zwykle przynosi zbliżający się już sezon zimowy. Ale w biurach ministeryalnych wre już praca na dobre, a p. *Bethmann-Hollweg*, powróciwszy z majętności swej Hohenfinnow do Berlina, pilne odbywa konferencye z swymi ministrami i sekretarzami stanu. Jeszcze nie zapadła decyzya, czy *sejm* pruski ma być zwołany już w jesieni, czy dopiero w styczniu. Różni politycy, a między innymi i sławny nasz „przyjaciel" bar. Zedlitz domagają się rychłego zwołania sejmu przedewszystkiem, aby upragniona przez hakatystów ustawa parcelacyjna mogła się jak najprędzej stać prawem. Zdaje się jednak, że rząd do zbyt rychłego rozpoczęcia sesyi sejmowej nie ma ochoty. Ciąży na nim kłopot o reformę prawa wyborczego do sejmu, której coraz energiczniej domagają się wszystkie żywioły bardziej postępowe w Prusiech. Temu jednak sprzeciwiają się znowu z całej siły konserwatyści pruscy, widząc właśnie w trójklasowem prawie głosowania główną ostoję swej przewagi w Prusiech. Rząd musi się liczyć z konserwatystami i unika jak może dyskusyi o reformie wyborczej. Już dla tego samego więc Bethmann-Hollweg nie spieszy się decydująco do zwołania sejmu.

Jako kanclerz Rzeszy jest p. Bethmann-Hollweg także najwyższym kierownikiem *zagranicznej* polityki Niemiec. W tym charakterze musi on baczną uwagę poświęcać sprawie *bałkańskiej*, która jeszcze ciągle stoi w pierwszym rzędzie zagadnień międzynarodowych. Po długich targach i rokowaniach zawarty został pokój między *Turcyą a Bułgaryą*, i to na warunkach bardzo trudnych dla Bułgaryi. Traci ona lwią część owoców swych świetnych zwycięstw w pierwszej wojnie bałkańskiej. Adryanapol, Kirkkilisse, zroszone krwią bułgarską, a także ważny punkt kolejowy Timotyka przypadają Turcyi w udziale. Są to następstwa błędnej, upartej polityki Bułgarów. Pokój został zawarty, ale czy stosunki na Bałkanie się ustalą, to inna kwestya. Bułgarya napewno dążyć będzie do odwetu, niewiadomo tylko, w którym kierunku, czy Turcyi, czy Serbii i Grecyi. Tu leży stałe źródło niepokoju. Drugiem takiem źródłem jest *Albania*, ten twór sztuczny dyplomacyi europejskiej, a szczególnie austryackiej, która z nienawiści do Słowian forytowała samodzielną Albanię. Nadchodzą niepokojące wiadomości o walkach wewnętrznych w Albanii i o starciach granicznych między Serbami a bandami albańskiemi. Wszystko to nie wróży temu krajowi dobrej przyszłości. Szczególnie dla Austryi może nadejść chwila, gdzie w Wiedniu przeklinać będą pomysł stworzenia państwa albańskiego.

Pogadanka rolnicza.

Wrzesień to jesień — mówi poeta i pewno nie zmieniłby zdania, widząc obecny koniec lata. Zimno, wiatr i deszcz panują z małemi przerwami od końca żniw do teraz. Wybierki okopowizn odbywają się tylko w wolnem tempie, gdyż deszcze przeszkadzają ludziom w pracy. Ziemniaki tymczasem tak tanie, jak już dawno nie były. Urodzaj na nie wielki, choć ogólnie skarżą się, że białe gatunki ziemniaków gniją. Najwięcej może poszkodowani są parobcy, sadzą oni bowiem głównie białe ziemniaki, tak zwane ruchaje, a te przecież wydegenerowały się i hodowane bywają przez ludzi z dziwnego, niczem nie wytłomaczonego konserwatyzmu, z braku wiedzy rolniczej. Chłop nasz bowiem jest straszny konserwatysta i trzyma się wiernie zasad ojców, nieprzystępny dla postępu i nauki. To samo odnosi się do gospodarzy małorolnych. Zdawałoby się na pewno, że na małem powinien mieć chłop lepsze urodzaje, mogąc pole sumienniej obrobić, tymczasem rezultaty są wręcz odmienne. Zacofanie w uprawie roli, a mianowicie w robotach ręcznych, wreszcie nieużywanie sztucznych nawozów czyni, że sprzęt z morga jest u chłopa mniejszy niż u dziedzica. Naturalnie znajdą się także chlubne wyjątki, lecz te są rzadkie, i chociaż w ostatnich latach zaczynają się stosunki zmieniać i to nie mało dzięki naukom w kółkach rolniczych, to jednak gospodarowanie chłopów pozostawia jeszcze wiele do życzenia.

Obchodzenie się z bydłem jest u chłopa bardzo złe. Kiedy pasza jest, to jej nie żałują, a gdy jej zabraknie, to bydło głodne przy korycie stoi. Nie widać w tem systemu ani rozkładu planowego na cały rok, podług którego możnaby bydło równo przez cały rok żywić, zamiast

głodzić lub przepasać, gdy paszy w bród. Tak samo jakość bydła jest niekonieczną, widać za mało starania celem poprawienia rasy przez dobrych rasowych stadników. Obchodzenie się z mlekiem i fabrykacya masła także nie zawsze dobra. Wszędzie brak oświaty i postępu i to dziwne trzymanie się zasad rolniczych, odziedziczonych po ojcach, dziadach i t. d. Wiedzą o tem dobrze nasi działacze rolnicy, wiedzą, że każda ich nauka dziesięć razy chybia celu, a dopiero jedenasty raz słowa nie były napróżno wypowiedziane.

Ludzi natomiast pracujących nad ludem jest mało i to przedewszystkiem zdatnych do udzielania skutecznej nauki.

Tymczasem trzeba stwierdzić, że chłop polski wbrew wszelkim teoryom się dorabia i nie pomniejsza swego areału, lecz go powiększa i grosz jego po bankach rośnie.

Czemu?

Otóż rola chłopska jest po części mało hypotecznie obdłużona, następnie chłop nie ma prawie żadnych potrzeb i jedyny jego luksus to kieliszek taniej wódki. Chłop polski ma bardzo małe wydatki gospodarcze, nie najmuje prawie wcale robotnika, tylko pędzi całe gospodarstwo dziećmi, nie wynagradzając ich stosownie i trzymając je w domu twardą ręką i ojcowską powagą, choćby dzieci jego we dworze lub w świecie trzy razy tyle zarobiły. Może ten system jest nawet sprawiedliwy, gdyż ojciec poprostu traktuje dzieci w ten sam sposób, jak sam był przez ojca traktowany. Oddaje im za swoje a system ten trwa już od wieków.

Jeżeli chłop się bogaci, to pocóż mu nauki prelegentów, on grosza nie straci!

Fałszywe to ujęcie kwestyi, każdy bowem zobowiązany z roli najwyższą ciągnąć rentę i nie kontentować się połowicznemi zyskami.

Każdy winien swoje zadanie jako członek społeczeństwa wypełnić o ile mu sił starczy, a jeżeli wyzysk warsztatu jest połowicznym, tedy i on jest do połowy trutniem karmionym przez pszczoły robocze.

Tadeusz Sobeski.

Nie zawsze pokora jest zaletą, a pycha grzechem. Bywa i przeciwnie. „Pokora niewoli" jest zawsze grzechem, a pycha staje się wówczas zaletą.

H. Św.

* * *

Być niezależnym od nikogo jest dobrze, ale lepiej jest być zależnym od osoby kochanej i kochającej.

Julian Ochorowicz.

* * *

Podobizny dworów polskich
w W. Księstwie Poznańskim.

(Ciąg dalszy.)

Zamieszczamy w dalszym ciągu dwie podobizny dworów, które są pomniejszonemi reprodukcyami wspaniałych ilustracyj, umieszczonych w luksusowem dziele p. L. Durczykiewicza z Czempinia p. t. „Dwory polskie w W. Ks. Poznańskiem". Nakładem p. L. Durczykiewicza, czcionkami drukarni „Pracy".

Kościelec, powiat inowrocławski, własność hr. Adolfa Ponińskiego. Majętność ta była dawną siedzibą Kościelskich, następnie Działyńskich, w których posiadaniu znajdowała się aż do 18-go wieku. Po kilkakrotnych zmianach właścicieli nabył dobra kościeleckie w końcu 18-go wieku hrabia Michał Dąbski. W r. 1836, po śmierci Juliana hr. Dąbskiego, przeszedł Kościelec drogą kupna na własność wdowy po nim, Rozalii z hrabiów Ponińskich. Od r. 1885 jest własnością Adolfa hr. Ponińskiego, który odziedziczył go drogą spadku. W dawnych wiekach stał tutaj zamek, który jednakże w czasie wojen szwedzkich doszczętnie został zniszczony, że ani śladu po nim nie zostało. Dzisiejszy pałac wystawiony został w r. 1849.



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.
Kościelec.

Leszcze nad Gopłem, powiat strzeliński, własn. Tad. Jana Grabskiego, herbu Wczele, doktora obojga praw. Dwór a raczej starą część z drzewa budował przed około 100 laty Mlicki, którego matka, córka ostatniego kasztelana kujawskiego Bogatki otrzymała Leszcze razem z Jerzycami, Jurkowem i Ostrówkiem jako wiano. Część nową, piętrową budował obecny właściciel i to przed sześciu laty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.
Leszcze nad Gopłem.

Na warszawskim bruku.

(Własna korespondencya „Pracy".)

(Ciętość felietonisty. — Nasze demokratyzowanie. — Górą Mazury płockie. — Wojna o szkoły ludowe. — Co było a co być powinno. — Znów hojna filantropka. — Ś. p. Kazimierz Obrębowicz. — Nemo propheta in patria sua.)

Znakomity publicysta krakowsko-warszawski, który corocznie przybywa na kilka miesięcy letnich do Warszawy i do ulubionego przez siebie, pięknie nad Bugiem położonego, a nieprzebranemi lasami okolonego miasteczka Wyszko-

wa, Kazimierz Bartoszewicz w trochę zjadliwych, ale świetnie, po felietonowemu skreślonych artykułach w „Dniu" pomieszczonych wydrwił wszelkie „gadania austryackie" o dokonywającem się jakoby demokratyzowaniu się naszego społeczeństwa. Zdaniem p. B. są to wierutne bajki, dowodzi on też na mocy całego szeregu przykładów doskonale zebranych, że tak, jak obecnie rzeczy się przedstawiają, nawet w Galicyi, prawdziwe zdemokratyzowanie mas ludności większe porobiło postępy, aniżeli w zaborze rosyjskim. I pan Kazimierz Bartoszewicz ma bardzo wiele racyi, gdy twierdzi w ten sposób, ale racya to nie... zupełna. Jest przecież u nas w Królestwie, gubernia, czy też lepiej, bardziej po polsku mówiąc, Ziemia, którą posądzić o jakiś snobizm arystokratyczny znaczyłoby wyrządzać jej mieszkańcom ciężką i niezasłużoną niczem krzywdę. Tą ziemią, godną stawienia jej za wzór wszystkim dzielnicom polskim, gdy chodzi o wcielanie w czyn szczytnych zasad narodowych, jest Ziemia Płocka. Napróżno szukalibyśmy w Płockiem obywateli bardzo zamożnych, co najwyżej znajdziemy tylko dobrze miennych, nie ma też tam, o ile wiem, ani jednego majątku, należącego do osoby z przydomkiem ks., hr., albo bar., nie przeszkadza to jednak stwierdzeniu faktu, że Ziemia Płocka przoduje całemu Królestwu zdrowym poglądem na sprawy narodowe. Twarde, krzepkie są Mazury tamtejsze.

Jak wiadomo, rząd rosyjski postanowił nareszcie zaprowadzić w Królestwie Polskiem nauczanie powszechne, a chyba nawet ślepy musi dojrzeć, że takie postanowienie oznaczyć może i musi potężny krok naprzód, o ile społeczeństwo nasze z tego nowego i tak doniosłego prawa będzie umiało odpowiednio skorzystać. I tu właśnie Płocczanie pokazali co potrafią. Podczas bowiem, gdy w innych okolicach kraju zaczęto się namyślać, rozważać, debatować nad tem, jak się kraj powinien zachować wobec tego nowego „dobrodziejstwa" rosyjskiego, podczas gdy wichrzyciele, frondziści narodowej demokracyi, zgrupowani około tromtadrackiego „Gońca" zwoływali zebrania i zbierali podpisy, ażeby bojkotować te szkoły, które mają być tworzone z woli uchwał gminnych, ziemiaństwo płockie zoryentowało się od razu i sprawę całą energicznie ujęło w silne dłonie. „Brać, co dają, a o resztę się ciągle upominać!" — oto hasło płockie, które pochwycone zostało w lot, a przeprowadzone tak doskonale, że nie upłynął nawet kwartał, a już zadecydowano w tej gubernii, równającej się obszarem W. Ks. Poznańskiemu, założyć już w roku przyszłym 290 szkół ludowych, jednooddziałowych.

Malkontenci, którym nikt i nigdy jeszcze nie dogodził, znów podnieśli alarm, że szkoły mają jednooddziałowe. Przecież wolno zakładać dwuoddziałowe, czyli 4-o klasowe! Tymczasem Płocczanie wiedzą doskonale, co robić należy: jednooddziałowe mają wykład polski, w drugim oddziale zaś obowiązuje język rosyjski. To wzgląd pierwszy. A drugi jeszcze ważniejszy. Zkąd wziąć od razu tylu nauczycieli Polaków? Dość powiedzieć, że jeszcze niewiadomo, czy będzie można znaleść komplet dla tych szkół, które już są zadecydowane, zgłoszeń bowiem jest dotąd 210, brakuje zatem jeszcze 80 sił pedagogicznych. Ale te się znajdą, przezorni bowiem obywatele mazurscy postanowili opodatkować się dobrowolnie, byle nauczycielom wytworzyć możliwe warunki bytowania. Są gminy, które przeznaczyły dla nauczycieli po 800 rubli rocznie, oprócz mieszkania, opału, światła, kawałka gruntu itp. Po takie wynagrodzenie warto się schylić, znam też wypadki, nawet z bardzo bliżkiego otoczenia mojego, że młodzieńcy, którzy mają matury w kieszeni, ale zarazem puste portmonetki, chcą przyjąć na kilka lat posady nauczycieli ludowych, ażeby zaoszczędzić sobie trochę groszy na późniejsze studya uniwersyteckie.

Z tego chyba osądzą czytelnicy łatwo, że Płocczanie spisują się dzielnie, nie bagatela to bowiem, gdy corocznie ze szkół gminnych wychodzić będzie zastęp młodzieży włościańskiej, złożony z 30-tu, albo i więcej tysięcy, umiejący czytać, pisać, rachować i mający pojęcie o świecie oraz o obowiązkach obywatelskich. Podobno dzielny przykład oddziałał również na mieszkańców Ziemi Radomskiej, w innych jednak okolicach głucho jeszcze o uchwałach gminnych w kierunku szkolnictwa ludowego. A przecież wiadomo, że Królestwo zabija poprostu ciemnota mas i analfabetyzm.

Nie na cele oświaty ludowej, lecz w każdym razie na rzecz dobra ogólnego złożyła znów hojną ofiarę jedna z tych niewiast polskich, które mają wielkie serce i hojną dłoń, a o których pisałem w poprzednim liście moim. Tym razem chodzi... o bagatelkę, o jakieś marne.... 123,000 ruble. Nawet głowy sobie zaprzątać nie warto. Sumę tę, taką... drobną, zapisała w testamencie swoim ś. p. Marya z Lipińskich Łaguna, dziedziczą zaś ją różne instytucye, a przeważną część obejmą kościoły i dewocyjne stowarzyszenie, noszące nazwę „Archikonfraternia literacka". Stowarzyszenie to nie ma nic do czynienia z literaturą, a przydomek „literacka" wywodzi się od tego, że przyjmuje się na członków ludzi niepiśmiennych, w każdym razie jednak szanowny to jest zabytek z owych jeszcze czasów, gdy mieszczanin warszawski podpisując się, kładł na pargamin trzy krzyżyki.

Jestem pewny, że gdyby miał, to z pewnością dużo zapisałby na cele dobra publicznego zmarły przed tygodniem śp. Kazimierz Obrębowicz, chluba Wielkopolan na bruku warszawskim. Ale ludzie tej miary, tej wiedzy, tej szlachetności, tego hartu duszy, tacy naprawdę wielcy patryoci, nie zwykli pozostawiać majątków po sobie. Zostawiają imię wielkie, które z najwyższą czcią powinno być przechowywane z pokolenia w pokolenie. Jeśli kiedyś potomni ludzie od kielni i młota, postawić zapragną pomnik tym, którzy ich uczyli odrzucać od siebie wszelkie naleciałości germańskie, którzy rzemieślnika i robotnika uczyli mówić naprawdę po polsku, w pierwszym rzędzie pomyśleć będą musieli o monumencie spiżowym z napisem: „Twórcy polskiego słownictwa hutniczego, Kazimierzowi Obrębowiczowi — rodacy".

Trzeba oddać Warszawie sprawiedliwość, „płochej" Warszawie, tej Warszawie, która w tej chwili tonie w zachwytach dla jakiegoś alzacko-pruskiego lotnika Stoeffla (już to my mamy szczęście do lotników!), że zwłoki śp. Obrębowicza odprowadziła na cmentarz powązkowski z czcią przynależną. Cały świat techniczny z całej Polski był reprezentowany, tylko, tylko... nie było znów nikogo z Poznania. Wstyd! Umiera Jabłonowski — Poznańskie niczem nie objawia smutku. Umiera Obrębowicz, Poznańczyk, chluba Wielkopolan, a z nad Warty nie nadpłynęło ani jedno, bodaj zdawkowe westchnienie.

Ha! byli to ludzie nie bogaci, a cóż znaczy dziś w Poznaniu człowiek... bez „bejmów"?!!

Włodzimierz Trąmpczyński.

Nasz sport.

Ze sportu Wielkopolskiego.

Zawody zapowiedziane na ubiegłą niedzielę, dnia 21 b. m. pomiędzy I. drużynami klubów sportowych „Posnanii" a „Ostrovii" nie sprostały co do dzielności nawet w przybliżeniu choćby i najskromniejszym wymaganiom wobec I. klasowych drużyn. Złe powietrze wpłynęło prawdopodobnie przygnębiająco na graczy. Dzień bowiem pochmurny, wiatr silny, zimno przenikliwe, a co

najgorsza: „Ostrovia" stawiła się na pole tylko z dziewięcioma zawodnikami.

O godz. 4-tej rozpoczyna się gra. „Ostrovii" pomaga silny wiatr, przez co zdaje się, jakoby obustronne siły zrównoważyły się. To też rezultat do zmiany stron (2:1 bramek) nie wykazał wielkiej przewagi ani tej ani owej strony.

Skoro jednakże po zmianie stron „Ostrovia" przeciwko wiatrowi walczyć musi, przenosi się przewaga gry na stronę „Posnanii". Przedstawia się teraz widzom widowisko wcale nie interesujące; w równych bowiem odstępach zdobywa „Posnania" jeszcze 3 bramki, którym „Ostrovia" tylko jedną przeciwstawia. Rezultat 5:2 bramek dla „Posnanii".

* * *

Na tem zakończyły się tegoroczne zawody o mistrzostwo.

Mistrzem Związku Polskich Towarzystw Sportowych została drużyna klubu sportowego „Warta" w Poznaniu ilością 6 punktów. Na drugiem miejscu stoi „Posnania" ilością 4, a na trzeciem miejscu „Ostrovia" ilością 2 punk.

E. Sch.

†

Z żałobnej karty.

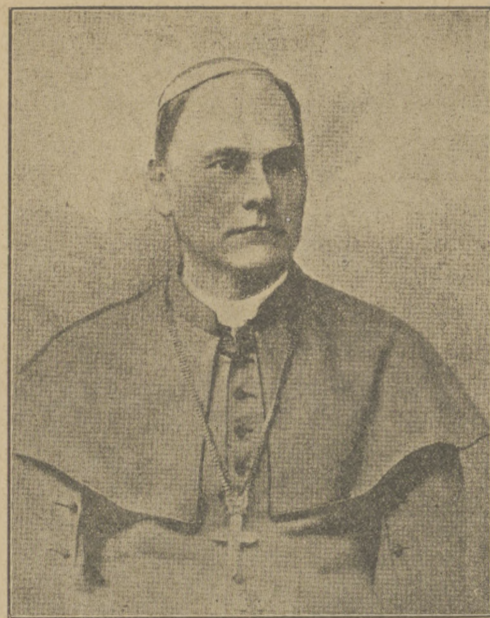
Ś. p. ks. Gaspar Felicyan Cyrtowt,
biskup-sufragan żmudzki.

W Berlinie w klinice profesora Kerra po ciężkiej operacyi usunięcia kamieni żółciowych, zmarł biskup dyecezyi żmudzkiej ks. Gaspar Felicyan Cyrtowt.

Zmarły dostojnik kościoła był synem włościanina żmudzkiego. Urodzony w r. 1841, naukę pobierał w szkole powiatowej w Rosieniach i w gimnazyum szawelskiem, poczem w r. 1862 wstąpił do seminaryum w Worniach, skąd został wysłany do petersburskiej akademii duchownej, którą też skończył w r. 1868 ze stopniem magistra św. teologii.

Po powrocie z Petersburga na Żmudź, został mianowany profesorem seminaryum duchownego w Kownie, w r. 1877 powołano go na profesora akademii petersburskiej, w r. 1883 został kanonikiem kapituły żmudzkiej, w roku 1885 jej prałatem. W r. 1888 objął stanowisko rektora seminaryum dyecezyalnego w Kownie.

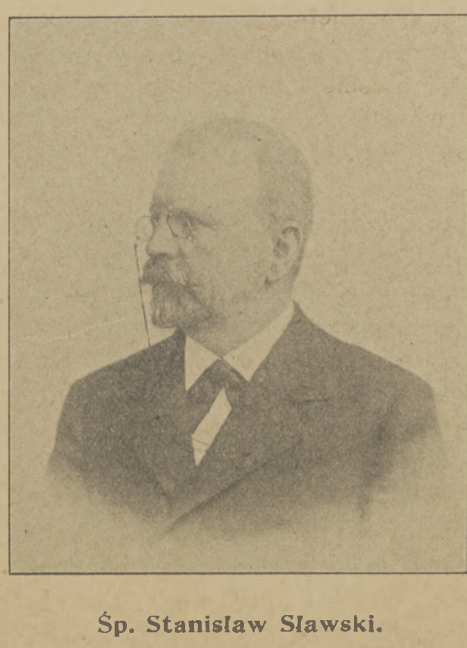
W dniu 30-go listopada 1897 r. został konsekrowany w Petersburgu na biskupa-sufragana-żmudzkiego, w dniu 27-go marca 1910 r. został prekonizowany na biskupa tejże dyecezyi, a dnia



Ś. p. ks. Gaspar Felicyan Cyrtowt,
biskup-sufragan żmudzki.

6-go czerwca t. r. odbył uroczysty ingres do Kowna, gdzie rozwijał błogą działalność duszpasterską i odznaczył się nadzwyczajną dobrocią dla duchowieństwa i ludu. Był bardzo miłosiernym i wszystkie swe dochody obracał na biednych. Popierał także wszystkie Towarzystwa polskie i wszelkie zbiorowe prace społeczne. Łagodził umiejętnie i sprawiedliwie wszelkie antagonizmy narodowościowe, podżegane przez rząd rosyjski.

Dnia 19-go b. m. o godzinie 6-tej rano wywieziono zabalzamowane zwłoki ś. p. księdza biskupa Cyrtowta z kliniki profesora Kerra do kaplicy św. Macieja, w której zgromadzili się liczni Polacy. Członkowie sześciu towarzystw polskich stanęli ze sztandarami. Dziekan kapituły żmudzkiej ksiądz Maciejowski, towarzysz zmarłego biskupa, po mszy św. żałobnej wygłosił wzruszającą mowę. Poczem pochód żałobny ruszył ku dworcowi śląskiemu, a stamtąd przewieziono zwłoki do Kowna, gdzie



Śp. Stanisław Sławski.

je złożono dnia 22-go b. m. w podziemiach tamtejszej katedry.

W pogrzebie wzięli udział ks. biskup metropolita Kluczyński, oraz księża biskupi Karaś, Zdzitowiecki, Ryx i Cieplak.

* * *

Ś. p. Stanisław Sławski.

Zmarły w Poznaniu dnia 13-go b. m. radca Stanisław Sławski urodził się 1841 r. jako syn Sylwestra Sławskiego, właściciela Komornik pod Poznaniem i Teresy z Golltmanów. Ukończywszy gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, słuchał prawa w Berlinie i Wrocławiu. Złożył 1869 r. egzamin asesorski. Odbył kampanię austryacką i francuską, ostatnią jako porucznik rezerwy 18-go pułku piechoty. Kampania francuska podkopała żelazne i kwitnące przedtem zdrowie. Po powrocie 1871 r. został sędzią przy sądzie powiatowym w Szamotułach, w 1879 r. przy reorganizacyi sądownictwa przeniesiony do sądu ziemiańskiego do Poznania, gdzie dzięki wybitnym jego zdolnościom prawniczym, powołano go wkrótce na przewodniczącego izby dla spraw handlowych, na którem to stanowisku podczas przeszło 20 letniej działalności szerokim sferom handlowym i przemysłowym Poznania dał się poznać jako sędzia wybitny. W 1906 roku otrzymał na swe żądanie skutkiem choroby dymisyę. Jako jedyny Polak sędzia przy sądzie ziemiańskim powołany został na przewodniczącego komisyi egzaminacyjnej dla tłumaczów na obwód sądu nadziemiańskiego w Poznaniu. Magistrat powołał go w 1892 r. na członka deputacyi szkolnej. Na tem trudnem stanowisku pozostał lat dwadzieścia. Również był zastępcą magistratu jako patrona w dozorze kościelnym kościoła farnego aż do końca życia. I tu miał sposobność zużytkować swą bogatą wiedzę prawniczą na pożytek pierwszego kościoła w Poznaniu.

Otrzymawszy przy dymisyi order korony III. klasy, poświęcił schyłek życia swego studyum prawa polskiego. Z młodzieńczym zapałem mimo podkopanego już zdrowia oddawał się tej trudnej nauce, wygłosił też z historyi prawa polskiego kilka wykładów na posiedzeniach wydziału prawniczo-ekonomicznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, biorąc żywy udział w jego pracach. Dalszego wykładu prawa polskiego przygotowanego i spisanego nie było mu już przeznaczonem wygłosić. Zdołał zgromadzić bardzo poważną bibliotekę dawnego prawa polskiego.

Ożeniony z Konstancyą Ziołecką, córką Romana, sędziego w Kościanie, i Matyldy z Aksamitowskich, pozostawił trzy córki: Matyldę drową Szelestową

w Warszawie, Zofię, żonę znanego architekta Zygmunta Hendla w Krakowie, i Maryę, żonę radcy dr. B. Wicherkiewicza w Poznaniu, i trzech synów, Rogera, architekta, Stanisława i Jana, adwokatów. Oprócz dzieci 8 wnuków opłakuje jego śmierć.

Zmarły krótkie chwile wolne od pracy zawodowej poświęcał kształceniu charakteru dzieci, wychodząc ze słusznej zasady, że rodzina jest podstawą społeczeństw.

Nieboszczyk, powiedzieć można, wiódł życie wśród znojnej pracy i szlachetnych dążeń jako cichy, skromny pracownik, oddany sercem i ciałem społeczeństwu i rodzinie. Czynił dobrze i był przykładem dla pozostałych dla naśladowania. Było w nim coś ze stalowych mężów. Hart i wytrwałość tarczę jego zdobiły. Niewypowiedziana dobroć była drugą jego cechą. Prawa natura jego wzdrygała się zawsze na fałsz i obłudę, sam bowiem był uosobieniem prawości i szczerości. Żałować go będzie całe nasze społeczeństwo, z którego duszą zespolił się jak mało kto inny.

Dnia 16-go b. m. o godzinie 4-tej po południu odbył się pogrzeb ś. p. Stanisława Sławskiego. Przed domem żałoby zebrali się licznie przyjaciele nieodżałowanej pamięci nieboszczyka. Kondukt żałobny prowadził ks. prałat Stychel, proboszcz farny, w asyście 20 księży. Za trumną postępowała rodzina i ogromny zastęp przyjaciół i znajomych zmarłego, dając tem dowód nie tylko współczucia dla rodziny, lecz także wysokiego szacunku, jaki mieli dla nieboszczyka. Zwłoki złożono na nowym cmentarzu farnym.

Maciej hr. Łubieński.

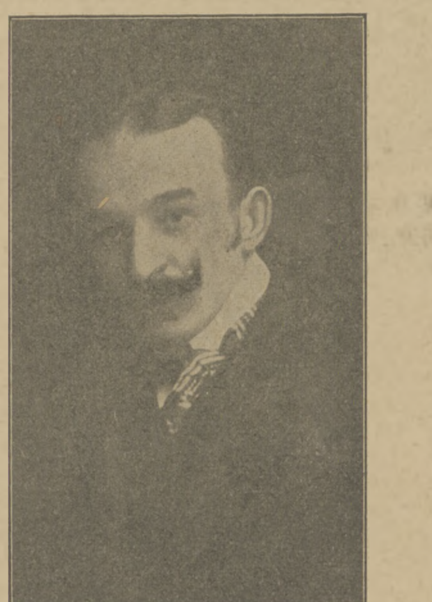
(Sylwetka literacka.)

Autor powieści „Złuda", której druk rozpoczniemy w następnym numerze, rozpoczął pracę na niwie literackiej w r. 1901, dłuższą nowelą w „Wędrowcu" pod tyt. „Za podszeptem dumy". W niespełna dwa lata pierwszą swą powieść „Jerzy", oświetlającą w sposób oryginalny zagadnienie pojedynku, drukuje w jednem z najpoważniejszych i najstarszych pism za kordonem w „Gazecie Lwowskiej". Szerszemu ogółowi daje się poznać jednak dopiero w r. 1904 powieścią współczesną „Ironia pozorów". Praca ta odrazu zjednywa mu czytelników i zwraca na siebie uwagę krytyki literackiej i prasy...

Pierwszy „Kuryer Warszawski" poświęca młodemu autorowi felieton krytyczny, kończy go w te słowa:

„Autor widzi i chwyta ręką umiejętną życie w jego objawach realnych, rzeczywistych. Jego postacie epizodyczne, brane z tak zwanego „świata", jego estetycznie wychowani sceptycy i viveur'owie żyją — prawdziwi, szczerzy. Dużo miłości i starannego artyzmu włożył on w część opisową swojej powieści. Język Łubieńskiego poprawny, obrazowy, indywidualny, nadaje się do twórczości artystycznej.

Jak na debiut autorski wróży „Ironia pozorów" bardzo dobrze dla autora.



Maciej hr. Łubieński.

Odsłania ona w nim subtelnego psychologa i bystrego obserwatora."

Zachęcony powodzeniem pierwszej książki, autor pracuje dalej... „Tygodnik Ilustrowany" zamieszcza dwie piękne jego nowele: „Światowego przyjaciela", malującego z gorzką ironią czczość i nicość przyjaźni wielkoświatowej i głęboko odczute smętne, rzucone na tło ukraińskiego stepu wspomnienie „Olana".

Jednocześnie w Warszawie „Bluszcz", a we Lwowie „Przegląd drukują" nową powieść Macieja hr. Łubieńskiego „Złotą Nić".

O tej pięknej powieści tak pisze, w artykule „Arystokraci o sobie", „Biesiada Literacka", podając zarazem portret utalentowanego autora.

„Za przykładem Weyssenhofa, który w powieściach swych piórem satyry chłoszcze środowisko arystokratyczne, do którego sam należy, idzie Maciej hr. Łubieński... Autor lubi ironizować i chętnie zwraca się do satyry, której ofiarą pada przedewszystkiem sfera „błękitna". Ogółem biorąc, nowa powieść hr. Łubieńskiego jest dowodem rozwoju zdolności autorskich. Zaciekawia i nasuwa poważniejsze refleksye — a to jest bardzo poważną zaletą utworów literackich."

Jednocześnie, zestawiając „Srebrne Szczyty" Tadeusza Konczyńskiego ze „Złotą Nicią", pisze „Gazeta Lwowska" o Łubieńskim te słowa:

„Powieść hr. Łubieńskiego czyta się łatwo, przyjemnie, równo, gładko płynie jego czyste, ładne słowo... Tu i owdzie olśniewają czytelnika doskonale odczute i odtworzone krajobrazy ukraińskie, stepy rodzinne autora.

Ludzi maluje Łubieński drobnemi rysami, lekko, szkicowo, kto jednak zna t. zw. świat, poznaje w tych sylwetkach typy żyjące. Są przecież w tych sferach charaktery, których nie potrzeba malować szeroko i subtelnie, bo cała ich psychika składa się z kilku zaledwie rysów..."

Radzi jesteśmy, iż będziemy mogli zapoznać z nową pracą utalentowanego młodego autora czytelników naszych... Wszystkie rysy charakterystyczne jego talentu, podkreślone przez krytykę w jego poprzednich utworach — staranniej opracowane tylko i artystyczniej uwypuklają się w „Złudzie".

Różnica niewątpliwie polega tylko na tem, iż, przerzuciwszy się częściowo z ciasnej, bądź co bądź, areny arystokratycznych salonów w środowisko zawodów i cierpień i przeżyć bardziej ogólno ludzkich — uzdolniony pisarz dał nam poznać szerszą skalę swego talentu i oświetlił go wszechstronniej.

Z bieżącej chwili.

Pani Curie-Skłodowska o radzie.

Na kongres przyrodników angielskich w Birminghamie zaproszona została p. Marya Curie-Skłodowska do wygłoszenia odczytu o radzie. Znakomita rodaczka nasza na kongres przybyła wszelako wygłosiła tylko krótką mowę, w której podziękowała za zaszczytne zaproszenie i objaśniła, że najnowsze wyniki badań znane są z pism fachowych, w których od czasu do czasu umieszcza swoje prace. Jednemu ze sprawozdawców „Daily Chronicle" oświadczyła, że nie życzyłaby sobie rozgłosu w Anglii, gdyż dałoby to sufrażystkom sposobność do niesmacznych wystąpień. Dlatego uniknąć pragnie wszelkiego oficyalnego udziału w zjeździe.

„Sądzę — mówiła p. Curie-Skłodowska, — że dostatecznie dowiodłam światu, iż nawet nie posiadając jakichś praw szczególnych, może kobieta w życiu publicznem rozwinąć skuteczną i szeroką działalność. Profesurę na uniwersytecie paryskim otrzymałam przecież

dopiero po odkryciu radu. Jestem przekonana, że i w Anglii potrafi społeczeństwo ocenić zasługi kobiet, jeżeli poświęcą się one pracy pożytecznej i jeżeli zadowalające osiągną wyniki. Wybijaniem szyb i demonstracyjnemi pochodami można tylko zasłużyć na drwiny i ironiczne wzruszenia ramionami".

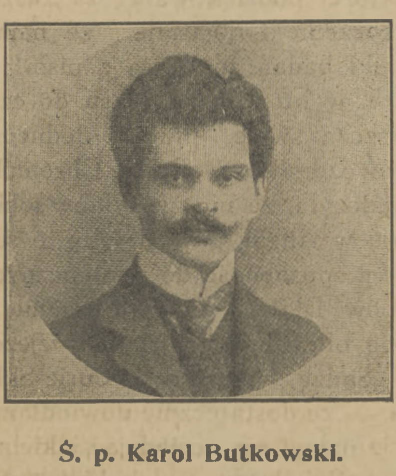


Pani Curie-Skłodowska w otoczeniu wybitnych przedstawicieli uniwersytetu birminghamskiego.

Jak donosi „Daily Chronicle", miała też p. Curie-Skłodowska w rozmowie z prof. Ruthefordem wyjawić, że odkryła ciało nowe, przewyższające pod względem radioaktywności sam rad. Bliższych szczegółów tego odkrycia brak dotąd, uczona bowiem z łatwo zrozumiałych względów utrzymuje je na razie w tajemnicy.

Uniwersytet w Birminghamie nadał z okazyi wzmiankowanego kongresu p. Curie-Skłodowskiej godność honorowego doktora praw. Olivier Lodge, przedstawiając ją wicekanclerzowi, powiedział, że „p. Curie jest największą kobietą nauk wszystkich czasów".

* * *



Ś. p. Karol Butkowski.

Proces o morderstwo

toczył się w ubiegłym tygodniu we Lwowie przeciw Rusinowi Eliaszowi Dżegale, uczniowi tamtejszego seminaryum męskiego nauczycielskiego, który dnia 13-go czerwca r. b. zamordował skrytobójczo profesora wzmiankowanego seminaryum ś. p. Karola Butkowskiego. Dżegała przyznał się do winy, Sąd skazał go po kilkodniowych rozprawach na 14 lat ciężkiego więzienia.

* * *

Ułaskawienie hrabiny Tarnawskiej.

„Berl. Tageblatt" podaje wiadomość, że słynna hr. Tarnawska, odsiadująca od lat 3-ch karę w więzieniu weneckiem za zamordowanie swego kochanka hr. Komarowskiego względnie o namowę do morderstwa, została ułaskawiona przez króla włoskiego i po wypuszczeniu jej na wolność, w tych dniach przybędzie do Kijowa.



Marya Tarnawska.

O ułaskawienie to starał się ojciec jej, a wzorowe zachowanie się skazanej w więzieniu ułatwić miało otrzymanie dla niej ułaskawienia.

* * *

Bieg z Berlina do Wrocławia.

Żyjemy w czasach różnych sportów, z których w ostatnim czasie wzbudził wielkie zainteresowanie bieg z Berlina do Wrocławia. Marsz ów piechurów zorganizowano jako bieg etapowy, w którym ubiegają się o nagrodę obok



Bieg z Berlina do Wrocławia.
Uczestnik Müller, liczący 66 lat. **Uczestnik Gottwald,** liczący 78 lat.

młodzieży także starcy, mianowicie pp. F. Gottwald z Wrocławia, liczący 78 lat i A. Müller z Hermsdorfu, liczący 66 lat. Sporty konkurencyjne tego rodzaju nie należą we Francyi do nadzwyczajności, podczas gdy w Niemczech przedsięwzięto po raz pierwszy bieg na tak długą przestrzeń. W każdym razie z tych dwóch staruszków, zobrazowanych na rycinie, mógłby wziąć przykład niejeden zniewieściały i wygodny młodzik.



Wenecya bez gondoli.

Pięka Wenecyo! grozi ci zagłada,
Chcą cię wywłaszczyć z gondoli i wiosła,
O! jeśli ciebie spotka taka zdrada,
Staw opór prawu smutnego rzemiosła.
Dzisiejsi ludzie do wszystkiego zdolni,
Lecz ty zachowaj cały czar piękności.
Materyaliści od skrupułów wolni,
Aleś ty stróżem Sztuki i przeszłości!
Niech fale morskie w swych głębiach pochłoną
Cuchnące statki, motorowe łodzie,
Tu na lagunach niechaj pieśni dzwonią,
Po szmaragdowej unosząc się wodzie!
O weź w opiekę te gondole czarne,
Co jak jaskółcze szybowały stada,
Ich nie zastąpią „Petroletti“ marne,
I raz na zawsze zmilknie serenada.
A kiedy wioślarz łódź swoją porzuci,
I na modnego zmieni się szofera,
To miasto dożów w jarmark się obróci,
Hańbą okryje imię gondoliera.
Tradycya dawna zatrze się — czas zmieni
Te włoskie pieśni w pobudki sygnału,
Rozbrzmiewać będą jak świst na pustyni
I urok pierzchnie z nad Grande kanału.
Wenecyo! wezwij twoje wojsko białe,
Niechaj obsiądzie gondole dokoła,
Jeżeli ludzie mają serce małe,
Może gołębie ocalić je zdoła.

Marya Paruszewska.

Poznań, 21. 9. 1913.

Życie wiekiem, życie chwilą — rzekłbyś, że w życiu połyka się czas wielkiemi hausty, a w niedoli wypija po kropelce. Dawno o tem ludzie wiedzą! a zawsze im to dziwnem się zdaje, zawsze powtarzają zdumieni: Jak ten czas upłynął!

* * *

Z TEATRU.

Madama Butterfly. — Karuzel.

Dalekie japońskie Nangasaki jest widownią smutnych przeżyć i bolesnego skonu biednej Cho-cho-San, ofiary zapałów miłosnych niestałego Pinkertona. Zdobywa on serce pięknej Japonki, która z miłości ku niemu zmienia wiarę ojców, i łączy się z nią węzłem małżeńskim według rytu japońskiego, by tem łatwiej później otrzymać rozwód. Wcześnie opuszcza młodą żonę i przyrzeka, że wróci, gdy róże zakwitną. Lecz napróżno wyczekuje wyklęta przez swoich Butterfly powrotu małżonka. Już trzy razy róże w jej ogrodzie okryły się wonnem kwieciem, a płochy małżonek nie wraca. Butterfly wszakże nie traci nadziei i niezłomnie wierzy we wierność Pinkertona. Nareszcie przybywa okręt amerykański niosący ku wybrzeżom japońskim wyczekiwanego, lecz Pinkerton nie przybywa sam. Ożenił się w międzyczasie w Ameryce z inną kobietą i przyjeżdża, by pożegnać oszukaną Butterfly i zabrać syna, którego mu powiła. Butterfly oddaje dziecko i zabija się tym samym nożem, którym ojciec jej ongiś wykonał harakiri, by umrzeć z honorem, ponieważ żyć nie potrafił z honorem.

Taka jest w krótkich słowach treść opery osnutej na wzruszającej i poetycznej powieści Piotra Lotiego.

Tragiczne dzieje zdradzonej Butterfly opowiedział Puccini przecudnym językiem tonów. Jestto muzyka w całem tego słowa znaczeniu nowoczesna. Orkiestra zajmuje stanowisko równorzędne ze śpiewakami, nie akompaniuje do śpiewu, lecz występuje jako czynnik samoistny, snujący samodzielnie wątek opowieści, uzupełnia i dopowiada to, czego słowo wyrazić nie zdolne.

Wykonanie tej opery na naszej scenie przewyższyło wszelkie oczekiwania.

Nie obawialiśmy się co prawda o wykonanie partyj wokalnych, gdyż pod tym względem personał nasz operowy już dawno chlubny złożył egzamin, ale lękaliśmy się o orkiestrę. Tymczasem pokazało się, że obawy te były płonne. Orkiestra pod wytrawnem kierownictwem p. Barańskiego bardzo pięknie wywiązała się z trudnego zadania, również reżyserya p. Malawskiego sprostała wszelkim trudnościom. Wystawienie tej opery przynosi zaszczyt teatrowi naszemu pod każdym względem, nienajmniej pod względem zewnętrznej okazałości.

Ze solistów największą i najwdzięczniejszą partyę miała p. Steffel-Haykowa jako Butterfly. Artystka była głosowo bardzo dobrze dysponowana i zdaje się, że partya ta szczególnie odpowiada jej uzdolnieniu. Pani Haykowa dała kreacyę zupełnie pierwszorzędną i czarowała publiczność zarówno śpiewem jak grą pełną szczerych i głębokich akcentów. Niewielką partyę Pinkertona śpiewał p. Malawski, którego główna zasługa tym razem na polu reżyseryi spoczywała. Poprawny jak zwykle był p. Kopczyński jako konsul, również p. Munclinger jako bonza był na miejscu. Bardzo ładnie wywiązała się ze zadania p. Janowska jako Suzuki.

Należy się spodziewać, że „Madama Butterfly“ prawdziwą będzie atrakcyą i licznych się doczeka powtórek. Zasługuje na to tak ze względu na swą wysoką wartość muzyczną jak ze względu na wprost znakomitą wystawę.

* * *

Bardzo niewiele tylko pozostało mi miejsca na omówienie Gorczyńskiego komedyi trzyaktowej p. t. „Karuzel“, która to rzecz ubiegłej soboty pojawiła się na naszej scenie po raz pierwszy. Powiem tedy krótko, że ironizująca ta sztuka warta widzenia, lubo nie wolna od wad dość poważnych.

Do wad zaliczam dotkliwy brak zwartej, raźno naprzód postępującej akcyi i gubienie się w zbytniem uwydatnianiu i cyzelowaniu szczegółów, z właściwą akcyą w bardzo luźnym niekiedy stojących związku. Do zalet: znakomity rysunek działających osób, subtelne podpatrzenie i uwydatnienie środowiska, tudzież dowcip i humor tryskający z gładkiego i żywego — chociaż czasami dość banalnego dyalogu. Toż nawet przedstawiciel intelektualizmu i idealizmu, brodaty i niezgrabny Zaguba, figura konwencyonalna trochę i papierowa, lecz górująca nad panującą w sztuce pospolitością umysłem i charakterem, nie zdobywa się na żadne uwagi godne powiedzenia, tylko obraca się w sferze dość tanich i wyświechtanych komunałów. Z tem wszystkiem ze żywem zajęciem patrzy się na to, co się na scenie dzieje. A niejeden zapewne winszował sobie, że znalazł się autor, który w komedyi obnażył i schłostał dzikie apetyty, nad których skutkami zbyt często płakać mu kazano w niejednem wielce pretensyonalnem dramidle modernistycznem.

Przedstawienie samo wypadło na ogół bardzo dobrze. Ponad wszelką pochwałę wywiązała się z zadania p. Modrzewska. Również dla Eli p. Bilińskiej znajduję tylko słowa najgorętszego uznania. Dobre warunki zewnętrzne posiada p. Kojałłowiczówna. Szarmanckim donżuanem był p. Lipczyński, równie szczęśliwy jako reżyser. Poprawnym Życiem był p. Dębicz. Pp. Lochman i Ryll stworzyli zabawne typy ojców komicznych.

Nieco zbyt przygnębionym Zagubą był p. Rodmund, podczas gdy p. Mierzejewski trafnie odtworzył nicponia Antosia. Pomniejsze role rozdano szczęśliwie. Publiczność dopisała. *R.*

Nasze ryciny.

Handlarki owoców we Włoszech.

Rzecz się dzieje pod włoskiem niebem: dwie handlarki owoców rozłożyły piękny towar, obok którego spoczywa w koszyku dziecko, szczęście matki. Postacie obu handlarek, tak siedzącej matki wpatrującej się z lubością w dziecko jak też drugiej stojącej, dobrze odtworzone, wogóle cała rycina zobrazowana jest znakomicie.

KRONIKA.

— **Pamięci Józefa Korzeniowskiego.** Dalszy ciąg artykułu pod tym tytułem zmuszeni byliśmy cofnąć do następnego numeru z powodu nawału materyału nie cierpiącego zwłoki.

— **Kurs języka Esperanto.** Polskie Towarzystwo Esperantystów rozpoczyna kurs języka międzynarodowego Esperanto. Pierwsza lekcya odbędzie się **w poniedziałek, dnia 29-go września** b. r. o godz. 9-tej wiecz. w lokalu przy ul. św. Marcina 68. (Resursa). Kurs obejmuje razem 12 lekcyj. Składnia języka Esperanto jest nadzwyczaj prosta i bardzo interesująca. Kto więc oprócz ojczystego pragnie z małym nakładem sił i czasu zapoznać się ze znanym powszechnie Esperanto, ma obecnie dobrą ku temu sposobność.

— **Ze sprzedaży kart gratulacyjnych i kondolencyjnych,** zastępujących telegramy, wpłynęło w dalszym ciągu do kasy za pośrednictwem firm poznańskich i prowincyonalnych razem mrk. 56. fen. 85.

— **Pan Aleksander Piotrowski,** doktor filozofii i doktor wszech nauk lekarskich, przyjętym został w poczet docentów Uranii berlińskiej. Młody uczony w semestrze zimowym będzie wykładał o rzeczach z dziedziny psychologii i psychopatologii.

— **Egzamin.** Przed poznańską izbą rzemieślniczą złożyła panna Jadwiga Jankowska z Poznania egzamin mistrzowski z damskiego fryzyerstwa. Jest to pierwszy wypadek w tym zawodzie na mocy nowego prawa. Panna Jankowska poprzednio po dłuższym pobycie w Paryżu, zdobyła tamże dyplom wszechświatowy w konkursie damskiego fryzowania.

Nekrologia.

† **Ś. p. Wiktor Alkiewicz,** dnia 18-go b. m. w Jabłonowie w Prusach Zachodnich, przeżywszy lat 55. Zwłoki złożono w grobowcu rodzinnym w Czerniejewie. — **Ś. p. Wacław Thielmann,** zmarł dnia 13-go b. m., jako ofiara swego zawodu, w Poznaniu, w 21-szym roku życia. — **Ś. p. Elżbieta Szumnarska,** dnia 19-go b. m. w Poznaniu, w 64-tym roku życia. — **Ś. p. Anna z Kurowskich Rybicka,** dnia 21-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 77. — **Ś. p. Salomea Batog,** dnia 20-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 16. — **Ś. p. Jan Rogoziński,** dnia 18-go b. m. w Krzywiniu, w 24-tym roku życia. — **Ś. p. Andrzej Drygas,** dnia 20-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Kazimierz Glabiszewski,** towarzysz sztuki drukarskiej, zmarł dnia 24-go bm. po długich cierpieniach w Poznaniu, przeżywszy 24 lata. Nieboszczyk był zatrudniony przez dłuższy czas w drukarni „Pracy" i wypełniał zawsze gorliwie swe obowiązki. — R. i. p.

Od Redakcyi.

—**Panu Kazimierzowi W. w Poznaniu.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale nie zamieścimy, ponieważ w tej sprawie wydaliśmy w styczniu r. b. zeszyt jubileuszowy, a poza tem zamieściliśmy także liczne artykuły.

— **Panu Bronisławowi K. w G. pod M.** — 1) Podręcznik „Die Kunst des Schnellrechnens" za 30 fen. nabyć Szan. Pan może w księgarni Niemierkiewicza w Poznaniu, plac Wilhelmowski, 2) Podręcznik do pomiarów gruntów nie istnieje. Takie sprawy załatwiają miernicy, 3) W tej sprawie poinformuje Szan. Pana pan Schmidt, plac Wilhelmowski 7, w podwórzu, wysoki parter, który wyrabia stemple kauczukowe i t. p.

—**Panu Michałowi M. w A.** — W Hadze w Holandyi.

Nowe książki i treść pism.

— **„Filareta", Miesięcznik kulturalny.** Treść zeszytu na wrzesień: Ks. Euzebiusz Stateczny: Modernizm literacki. — Helena Rzepecka: Anglicy o swojem kształceniu. — Franciszek Błotnicki: Ruch eleuzyński, jego zasady i dążenia. (Dokończenie). — Wiersze: Portus naufragorum. — Z wiewem przecichym. Ty bądź Miłością....' — Tréfle incarnat: Przeznaczenie, opowieść z blizkiego Wschodu. (Dokończenie). — Daremne bohaterstwo. (Dokończenie). — Przegląd piśmiennictwa. — Kronika. — Ogłoszenia.

Zeszyt ten jest ostatnim w bieżącym kwartale, więc zanosimy do wszystkich naszych Szanownych Czytelników uprzejmą prośbę, by prenumeratę na czwarty kwartał r. b. natychmiast odnowić raczyli, następnie, aby wśród znajomych i przyjaciół nowych „Filarecie" jednać się starali abonentów.

Adres Redakcyi i Ekspedycyi: Poznań, (Posen). Abonament na poczcie 90 fen. kwartalnie, pod opaską 1,10 mk.; w Austryi 1,20 kor.; w Rosyi 75 kop.; w Ameryce 1,25 mk.

„Filareta" wychodzi dnia 10-go każdego miesiąca.

— **Przewodnik Operowy.** Wydawnictwa tego wyszedł nr. 4 p. t. **Madame Butterfly".** Jestto streszczenie tej opery, poprzedzone artykułem o kompozytorze. Książeczka pojawia się w porę, gdyż teatr nasz wystawia tę operę. Cena 30 fen. Nakładcą jest znany księgarz poznański p. M. Niemierkiewicz.

— **Macierz Polska** wydała jako nr. 84-ty swej Biblioteki opowieść z czasów Kazimierzowskich p. t.: „Trzaska i Zbroja." Autorką jest pani Antonina Domańska. Opowieść powyższa została odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie „Gazety świątecznej." Książeczka liczy 83 strony druku, cena 50 hal.

Nadesłano.

Jak to już z ogłoszeń wiadomo, przeniósł p. S. Kałamajski swój największy polski **magazyn towarów krótkich, białych, wełnianych i modnych** z ul. Nowej nr. 2 do nowo urządzonych 4 razy tak wielkich jak dotąd lokali przy **placu Wilhelmowskim nr. 2** na parterze i I. piętrze, naprzeciw Domu Przemysłowego. **Otwarcie** nastąpi w przyszłą **sobotę, dnia 27-go bm. o godzinie 4-tej po południu.** Jako upominek na dzień otwarcia i następne dwa dni otrzyma każdy kupujący przy zakupie od mk. 2.— począwszy **piękną kasetkę** do szycia gratis. Zwracając uwagę szerokich mas publiczności, a przedewszystkiem naszych pań na doniosły ten szczegół w kupiectwie naszem, wypada zachęcić do szczerego popierania magazynu tego, urządzonego z wszelkim gustem i komfortem, a konkurującego pod względem cen i jakości towaru z wszystkiemi tego rodzaju firmami tak w Poznaniu jak i na prowincji.



Quo vadis Domine? — (Dokąd idziesz Panie?)

Quo vadis domine?
Dokąd idziesz Panie?

(Wyjątek z powieści H. Sienkiewicza p. tyt.: „*Quo vadis?*")

(Patrz powyższą rycinę.)

. . . .

O brzasku dnia dwie ciemne postacie posuwały się drogą Appijską ku równinom Kampanii.

Jedną z nich był Nazaryusz, drugą Piotr Apostół, który opuszczał Rzym i męczonych w nim współwyznawców.

Niebo na wschodzie przybierało już leciuchny odcień zielony, który zwolna, coraz wyraźniej bramował się u dołu barwą szafranną. Drzewa o srebrnych liściach, białe marmury will i łuki wodociągów, biegnące przez równinę ku miastu, wychylały się z cienia. Rozjaśniała się stopniowo zieloność nieba, nasycając złotem. Zaczem wschód zaczął różowieć i rozświecił góry Albańskie, które ukazały się cudne, liliowe, jakby z samych tylko blasków złożone.

Świt odbijał się w drżących na liściach drzew kroplach rosy. Mgła rzedła, odkrywając coraz szerszy widok na równinę, na leżące na niej domy, cmentarze, miasteczka i kępy drzew, między któremi bielały kolumny świątyń.

Droga była pusta. Wieśniacy, którzy zwozili jarzyny do miasta, nie zdążyli jeszcze widocznie zaprzęgać do wózków. Od płyt kamiennych, któremi aż do gór wyłożony był gościniec, szedł w ciszy odgłos drewnianych postołów, jakie podróżni mieli na nogach.

Potem słońce wychyliło się przez przełęcz gór, ale zarazem dziwny widok uderzył oczy Apostoła. Oto wydało mu się, iż złocisty krąg, zamiast wznosić się wyżej i wyżej na niebie, zsunął się ze wzgórz i toczy się po drodze.

Wówczas Piotr zatrzymał się i rzekł:

— Widzisz tę jasność, która zbliża się ku nam?

— Nie widzę nic — odpowiedział Nazaryusz.

Lecz Piotr po chwili odezwał się przysłoniwszy oczy dłonią:

— Jakowaś postać idzie ku nam w blasku słonecznym:

Do uszu ich nie dochodził jednak najmniejszy odgłos kroków. Naokół było cicho zupełnie, Nazaryusz widział tylko, że w dali drżą drzewa, jakby je ktoś potrząsał, a blask rozlewa się coraz szerzej na równinie.

A z rąk Piotra kosztur podróżny wysunął się na ziemię, oczy patrzyły nieruchomie przed siebie, usta były otwarte, w twarzy malowało się zdumienie, radość, zachwyt. Nagle rzucił się na kolana z wyciągniętemi przed siebie ramionami, a z ust jego wyrwał się okrzyk:

— Chryste!.. Chryste!..

I przypadł głową do ziemi, jakby całował czyjeś stopy.

Długo trwało milczenie, poczem w ciszy ozwały się przerywane łkaniem słowa starca:

— *Quo vadis, Domine?...*

I nie słyszał odpowiedzi Nazaryusz, lecz do uszu Piotrowych doszedł głos smutny i słodki, który rzekł:

— Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry.

Apostół leżał na ziemi, z twarzą w prochu, bez ruchu i słowa. Nazaryuszowi wydało się już, że omdlał lub umarł, ale on powstał wreszcie, drżącemi rękoma podniósł kij pielgrzymi i nic nie mówiąc, zawrócił ku siedmiu wzgórzom miasta.

Pacholę zaś widząc to, powtórzyło, jak echo:

— *Quo vadis, Domine?...*

— Do Rzymu — odrzekł cicho Apostół.

I wrócił.

Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt ni gościną, ni prośbą, ni dary...
Małoż Prusaki i Mazowsza cary
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszczę?
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszą rozdziera gardziele.

Adam Mickiewicz — „Grażyna".

Słowo honoru.

Jakkolwiek każde dobrze zorganizowane państwo ustawami przestrzega moralności w społeczeństwie, nie może ono jednak wniknąć we wszelkie, nawet drobne szczegóły życia społecznego. Stosunki towarzyskie reguluje państwo tylko w głównych zarysach, a na samem społeczeństwie ciąży obowiązek, ażeby postępowało drogą, wytkniętą bezwzględnemi zasadami moralności. Jak państwo a społeczeństwo tak samo i moralność wobec ustaw państwowych i moralność towarzyska są to dwie różne rzeczy posiadające zaledwie kilka stycznych punktów. Gdzie ustawa jest niewystarczającą dla życia towarzyskiego, tam społeczność ustanawia prawa zwyczajowe i wynajduje ustawami nieobjęte rękojmie moralności publicznej. Weźmy przykład. Wobec ustawy ważne jest tylko przyrzeczenie, dane na piśmie, albo ustnie wobec świadków, ale nie ma wagi nawet najuroczystsze zapewnienie, jeżeli się je da komu w cztery oczy. Ustawa więc w tym względzie nie jest, a nawiasowo mówiąc, nie może być skutecznym regulatorem moralności towarzyskiej. Dlatego też społeczeństwo obmyśliło inną rękojmię szczerości przyrzeczenia i prawdomówności. Taką rękojmią jest danie „słowa honoru", które w życiu towarzyskiem tyle znaczy, co przysięga. Sposób ten potwierdzenia prawdziwości wypowiedzianych słów, to zwyczajowe prawo towarzyskie, uznane jest przez wszystkich, a nawet często takich, którzy naruszają bez skrupułów ustawy państwowe; zdarzało się bowiem nieraz, że zbrodniarze, dla których nawet przysięga była igraszką, dotrzymywali danego prywatnie słowa.

W naszym narodzie, w którym szczególnie były szanowane prawa zwyczajowe, w dawnych czasach danie słowa znaczyło tyle, co akt najformalniej spisany, więcej nawet, bo szlachcic mający żyłkę do pieniactwa, choć dał najformalniejsze przyrzeczenie na piśmie i wiedział, że słuszność jest po stronie przeciwnika, mimo to procesował się zawzięcie, ale jeżeli dał „verbum nobile", w takim razie dotrzymał go z pewnością. Moralność towarzyska w dawnej Polsce w takiem była poszanowaniu, że z pewnością, tego, któremuby powiedziano, że złamał słowo szlecheckie, społeczeństwo wykluczyłoby ze swego grona.

Ze stopniowym upadkiem obyczajów zaczęła także upadać świętość danego słowa, a w obecnych czasach dożyliśmy zupełnego prawie rozprzężenia w tym kierunku. Faktem jest, że nieraz można słyszeć, jak ktoś daje słowo honoru na rzecz, którą za chwilę potem odwołuje, a za złe mu tego nie biorą. Lekkomyślność pod tym względem przechodzi nieraz aż w naiwność, ale po większej części wobec towarzyskiej moralności jest zbrodniczą. I cóż sądzić o takiem społeczeństwie, które pozbyło się jedynej możliwej rękojmi prawdy w życiu towarzyskiem? Cóż sądzić o tem społeczeństwie, którego członkowie frymarczą tem, co powinno być da nich najświętszym, własnym honorem? Zaiste wątpićbyśmy o nich musieli, gdybyśmy nie byli przekonani, że główną w tem rolę odgrywa nie zła wola, lecz lekkomyślność. „Słowo honoru" stało się u wielkiej liczby ludzi niejako przysłowiem, którego używają po większej części niepotrzebnie i lekkomyślnie przy lada sposobności, nie zastanawiając się nad wagą, jaka leży w tych słowach. Przez takie nadużywanie tych wyrazów straciły one sakramentalną cechę przysięgi, spowszedniały i stały się tylko zwykłym frazesem, do którego odzwyczajono się przywiązywać głębsze znaczenie. Usprawiedliwia to po części nasze społeczeństwo, ale nie zmienia przez to smutnego faktu, że towarzyska rękojmia prawdy, polegająca na danem słowie honoru, której niczem innem zastąpić niepodobna, straciła wiele ze swego dawnego znaczenia.

Obowiązkiem więc społeczeństwa istniejące zło naprawić i na nowo towarzyską moralność utrwalić. Zło, które stopniowo się zakradło, stopniowo też tylko może by wykorzenione; to, co przez winę poszczególnych osób się zepsuło, także staraniem jednostek powinno być naprawione. Potrzeba tylko, ażeby każdy człowiek dobrej woli naprzód sam nie używał lekkomyślnie słowa honoru, a skoro je da, dotrzymywał z jak największą dokładnością, a następnie, ażeby karcił lekkomyślników i ludzi bez czci, frymarczących tą uroczystą rękojmią. Przykład, czy to zły, czy dobry, zawsze wielki wpływ na otoczenie wywiera; starajmyż się więc, aby dobrych przykładów w tym kierunku było jak najwięcej, a z pewnością wrócimy po jakimś czasie do staropolskiego uszanowania danego słowa. Szczególnie my Polacy powinniśmy dążyć do jak największego umoralnienia i do wyrobienia zacnych i tęgich charakterów, bo na tem nasza przyszłość polega.

Kłamstwo, obłuda i lekkomyślność powinny być u nas nieznane. Starajmyż się więc wykorzenić je z życia społcznego, pod jakąkolwiek one formą występują.

Odnaleziona willa Horacego.

Ostateczne odkrycie letniej siedziby klasycznego liryka w górach sabińskich, w wysoko położonej dolinie rzeki Licenza, wywołało iście radosną sensacyę wśród znawców i miłośników starożytnego świata rzymskiego. Cały świat archeologiczny z największem zaciekawieniem śledzi postępy robót kopalnianych, podjętych skrzętnie, celem wydobycia na jaw całokształtu willi Horacego. Robotami temi kieruje Angiolo Pasqui, dyrektor wykopalisk prowincyi rzymskiej, jeden z najprzenikliwszych i najdoświadczeńszych starożytników.

Uczony niemiecki dr. Moeser, przebywający stale w wiecznem mieście, wycieczkę swoją do odnalezionej willi poety łacińskiego, opisuje, jak następuje:

„Owiani duchem Horacego, wstępujemy w uroczystym nastroju do świetnie zachowanych ruin, pokazujących dokładny plan położonego wzwyż domostwa. Z otwartego tarasu kilka schodków prowadzi na dół do ogrodu dość obszernego, okolonego cienistym, służącym do ochłody krużgankiem (Cyptoporticus); po środku zaś leży ozdobny staw, na dwa metry głęboki. Przez środkowe drzwi domu wchodzimy do wielkiej sali jadalnej; na prawo od tejże leżą pokoje pańskie na lewo — komory gospodarskie i kąpielowe, jako też pomieszczenia mieszkalne szafarza willi (vilius) i niewolników. Podłogi komnat pańskich pokryte są nader misternemi, doskonale zachowanemi mozaikami marmurowemi z najświetniejszego okresu cesarstwa rzymskiego, podczas gdy reszta ubikacyj grubszą w tej mierze zdradza robotę. Mury pokazują znamienną dla epoki Augusta manierę „opus reticulatum," t. j. murowanie z przekątnemi fugami. W Rzymie piękne te fasady siatkowate, zazwyczaj wykonywano z pospolitego tufu; Horacy zaś kazał użyć brył z najtwardszego wapnia. Znalezione cegły cechowane są marką „Numeri Nevi," należą więc do najstarszych tego rodzaju.

Wzdłuż muru koło domu i ogrodu wykopane zostały rozległe zakłady kąpielowe (Thermae) z późniejszych okresów cesarstwa, zawierające kilka sal z urządzeniami na ciepłe i zimne kąpiele, jakoteż sadzawka, pomalowana na niebiesko, w której ku uciesze ką-



Polowanie z wyżłami na kuropatwy.

piących się uwijały się drobne rybki. Podczas gdy Caldarium (łaźnia) wybornie się zachowała, to nad przestrzennem Frigidarium (chłodnia) za czasów Longobardów, lub Gotów zbudowano kościół i Piscina (sadzawka rybna) przemieniona została w kryptę. Wcześnie — chrześcijańskie to cmentarzysko mieściło mnóstwo kościotrupów, noszących na szyi łańcuszki i medale, pochodzące bez wątpienia z 6-go i 7-go w. po Chrystusie. Znaleziony tamże obfity sprzęt domowy Horacego, zebrany i uporządkowany został przez p. Pasqui'ego w osobnem muzeum w sąsiedniej malowniczej wiosce Licenza; zbiory te dają wyśmienite wyobrażenie o sposobie życia wielkiego poety. Że był on zwolennikiem gry i uciech biesiadowych, o tem świadczą pięknie rzeźbione kamyki do grania (calculi), oraz rozliczne, potężne dzbany i czasze, znalezione w piwnicy willi. Oprócz doskonale zachowanych, malowanych waz gallijskich, ślicznych kandelabrów, łyżek, kluczy i ciężarków z stemplem urzędowym, zwraca na się uwagę glyarium, t. j. klatka gliniana w postaci przewróconego garnka z nielicznemi drobnemi otworami; w takich klatkach starożytni Rzymianie trzymali ptastwo, które tuż przed zarżnięciem, poddawali intensywnemu tuczeniu. Najcenniejszą znalezinę stanowią artystycznie rżnięte kamee, złoty pierścień i biust cesarzowej Sanoniny. Kto tylko kiedykolwiek się wzruszył geniuszem mowy Horacego, oraz subtelnym wdziękiem jego myśli, ten tu we wszystkich przedmiotach podziwiać będzie dostojny, aczkolwiek prostotliwy smak, z jakim wielki, zarówno przez współczesnych, jak potomnych, uwielbiany poeta, umiał upiększyć powszednie swe otoczenie. Zgodnie z jego poglądem na świat i życie, w niejednym opiewanym wierszu, również dalekim od szorstkiej surowości Stoików, jak od zniewieściałej zmysłowości Epikurejczyków, wszystko w jego domostwie wzywa do rozumnego użytku dóbr tego świata. Horacy w najwyższym stopniu i niezrównanie umiał odami swemi przeciwdziałać przedelikaconemu, do nienaturalności przesadnemu życiu towarzyskiemu swego czasu i takim sposobem odroczyć rozkład władzy wszechświatowej Rzymu.

Roboty koło odkopania tego pięknego zabytku klasycznego są jeszcze w pełnym biegu; każdy dzień przynosi nowe niespodzianki. Niebawem pielgrzymka do willi Horacego, dająca się łacno połączyć z wycieczką do Tivoli, stanowić będzie niechybnie stały, ponętny punkt w programie podróżników, zwiedzających wieczne miasto i jego okolice."

Jesień idzie.

Idę ci ja lotną stopą przez rżyska,
Jeno za mną przędza biała połyska,
Jeno czasem wierzba stara z nad rowu
Rzuci gniewnie: „A dyć wraca tu znowu!"

Idę ci ja bruzdą polną, wybojem,
Ani dośpię — ani strawy nie dojem,
Jeno czasem staję cicha u płotów,
By popatrzeć, żali obróg już gotów...

Idę ci ja w chaty one najlichsze
I w komory tam zazieram, a śpichrze,
Na dno skrzyni patrzę puste i bodni
I na ludzi, co strudzeni, a głodni...

Idę ci ja z Bożej woli, nie mojej,
Co rok z jasnych wysyłana podwoi,
Tchnieniem wichru gnana zawdy i nutą
Na tę łąkę srebrną nicią osnutą...

Zawrat.

Cóż jest modlitwa? Nie jestże to wzniesienie ducha, rozpalenie go tak, aby stanął na wysokości wielkich duchów poprzedników naszych na drodze żywota i był zdolny otrzymać od nich kilka słów rady i pociechy.

Adam Mickiewicz.

Ludność Marokanii.

Ludność, zamieszkująca kraj dalekiego Zachodu, jest bezwarunkowo najdziwaczniejszą mieszaniną etnologiczną, jaka się kiedykolwiek i gdziekolwiek tylko spotyka. Fenicyanie, Kartagińczycy, Rzymianie, Wizygoci, Wandale, wreszcie Arabowie — wszystkie te narody, przeciągając przez Afrykę północną, odcisnęły swe piętno na zamieszkałych w Marokanii od czasów niepamiętnych tubylcach, a obfita domieszka krwi myrzyńskiej przyczyniła się też do zmiany pierwotnego typu. Pomimo takiego pokrzyżowania łatwo odrazu odróżnić Berbera od Maura, Beduina od Kabyla, nie mówiąc już o żydach, wychodźcach z Hiszpanii, którzy zachowali swój czysty typ pierwotny, gdyż dla ogólnej pogardy, jaka na Wschodzie otacza żydów, małżeństwa mieszane są wśród nich bardzo rzadkie.



Kobieta z rasy Berberów.



Roznosicielka wody w Tangerze.

O pierwotnem pochodzeniu Berberów trudno powiedzieć coś pewnego. Jedni twierdzą, że należą oni do rasy kaukaskiej i przyszli do Maroka na jakie 1,500 lat przed Chrystusem; inni przypisują im pokrewieństwo z Libijczykami, a nawet z Grekami. Według tradycyi przechowanej wśród samych Berberów, mają oni pochodzić od dawnych Kanaańczyków, wypartych z Kanaanu przez żydów za panowania króla Dżaluta (Goliata), którego panowanie przypada mniej więcej na czasy króla Dawida.

Wśród Berberów nie brak blondynów o niebieskich oczach, co należy przypisać domieszce krwi germańskiej przez Wandalów i Wizygotów. Żyją w monogamii, a chociaż wyznają islam, nie poddają się obrzezaniu, jedzą świninę i piją wino. Przed najazdem Arabów musiało być wśród nich silnie rozwinięte chrześcijaństwo skoro dotychczas ślady dawnej wiary pozostały w czystych wezwaniach do „leilah-Mariah," t. j. Najświętszej Panny Maryi. Kobiety berberyjskie nie noszą na twarzy zasłony, natomiast pokrywają głowę olbrzymim kapeluszem, z pod którego twarzy trudno dojrzeć, a na podbródku nacinają sobie nożem trzy szramy, zacierane następnie prochem strzelniczym.



Dziewczyna z rasy Kabylów.

W miastach mieszkają Maurowie, potomkowie wygnańców z Hiszpanii, a wspomnienia dawnej świetnej przeszłości żyją wśród nich do tego stopnia, że mieszkańcy Tetuanu zachowują dotychczas klucze od dawnych domów w Sewili i Grenadzie, w nadziei rychłego do nich powrotu. Po za obrębem miast mieszkają Kabyle i Beduini, pierwsi w otoczonych żywopłotem z kaktusów wioskach, przylepionych do skał, jak gniazda jaskółcze, drudzy pod namiotami, rozpiętemi w pustyni, jak dawni patryarchowie Starego Testamentu, do których przychodzili aniołowie, zwiastując wolę Bożą. Arystokratyzm rasy arabskiej znalazł swój wyraz w patryarchalnym ustroju ich gminy, którą rządzi z Bożej łaski najstarszy w rodzie (mokhadem el homa), podczas gdy wioski berberyjskie stanowią niejako małe rzeczypospolite, na których czele stoi rada z wyboru całej ludności (dzimaa).



Dziewczyna z puszczy Hammada.

W Maroko dotychczas jeszcze istnieje niewolnictwo — i dziś, z wyjątkiem Tangeru, we wszystkich miastach marokańskich, głównie zaś w Mogadorze, Fezie i Marakeszu odbywa się publicznie sprzedaż niewolników, rekrutujących się głównie z murzynów sudańskich. Właściciel żywego towaru wkłada przeznaczonemu na sprzedaż niewolnikowi łańcuch na szyję i przywięzuje go do haka, wbitego w ścianę



Dziewczyna z plemienia Hiaina.

domu. Po dobiciu targu, dawny właściciel, przed wręczeniem nowonabywcy niewolnika, nacina mu na znak dokonanej tranzakcyi głęboką bruzdę na policzku, tak, że ilość tych bruzd na twarzy niewolnika świadczy o tem, ile razy przechodził z rąk do rąk.

W myśl nauki koranu, syn wolnego i niewolnicy jest wolnym. Zasada ta, nieznana dawnemu prawodawstwu europejskiemu z czasów pańszczyźnianych, prowadzi do powolnej degeneracyi rasy arabskiej, dzięki ciągłej infiltracyi krwi murzyńskiej, od czego nie jest wolną nawet panująca dynastya.

Pod wielu względami przypominają Maurowie owe wątłe, delikatne, nerwowe dzieci, których wybujała wyobraźnia podsuwa szereg nieistniejących wypadków i zdarzeń, uważanych przez nie nieświadomie za prawdziwe. To samo i Arab. Spędzając większą część



Dziewczyna z plemienia Riata.

dnia i nocy na ciągłem upajaniu się haszyszem, zatraca on powoli możność rozróżniania rzeczy prawdziwych od mglistych obrazów halucynacyi, jakie mu w tem nawpół uśpieniu przed oczyma duszy stają. Rzeczywistość w pomieszaniu z tworami wyobraźni sprawia, że cały świat wydaje mu się niejako płodem fantazyi. Z takiego usposobienia wypływa brak poważnego zainteresowania się czemkolwiek w życiu. Lenistwo, ociężałość i apatya umysłowa, a wrodzona naturze ludzkiej żądza poznawania rzeczy nieznajomych znajduje zaspokojenie w pospolitem gapiostwie lub w dociekaniu, coby było, gdyby nic nie było.

Gorący klimat wpływa osłabiająco na cały organizm, żyzność gleby przy nieznacznym nakładzie pracy zaspakaja obficie niewybredne potrzeby ludności miejscowej, a wiara w przeznaczenie odbiera do reszty wszelką chęć starania się o dobro doczesne. Umierającego z głodu nędzarza pociesza prawowierny Muzułmanin tylko jednem słowem „kiszmet“ (przeznaczenie), i żebrak bez szemrania poddaje się swemu losowi!



Dziewczęta marokańskie z Tangeru.

Lenistwo Arabów jest równie przysłowiowe, jak ich gościnność. Ponieważ Arab za gościnę pieniędzy nie przyjmie, przeto wypada, odjeżdżając, ofiarować gospodarzowi jakiś drobny przedmiot. Nie można mu zrobić większej przyjemności, jak ofiarowując stary rewolwer. Tylko to ostatnie jest połączone z pewnem niebezpieczeństwem, bo obdarowany Arab strzela wówczas na wiwat, aż wystrzeli wszystkie naboje.



Młoda żydówka z Fezu.

Zamieszczone ryciny obrazują typy kobiet marokańskich z różnych ras i plemion.

Nie odkładaj na potem nauki jak masz żyć, abyś nie zapóźnił się z tem aż do czasu, kiedy masz się uczyć, jak umierać.

Eliza Orzeszkowa.

Dział kobiecy.

Idealny sport dla kobiet.

Sport ma niewątpliwie nadzwyczaj dobroczynny wpływ na zdrowie i urodę kobiet. Rozwija mięśnie, zaokrągla kształty, daje zwinność, sprężystość i wdzięk ruchów. Ale zazwyczaj każdy sport działa tylko na niektóre organy i członki, kto zatem chce osiągnąć rozwój harmonijny całości, musi się oddać kilku sportom. Niedogodność tę usuwa, jak sam twierdzi profesor jednego z uniwersytetów amerykańskich, Sergent, sport jeden, — który wszystkie zastąpi.



Kobieta z puszczy Eonigurji.

Ten sport, to zajęcia domowe. Która z pań — mówi profesor — chce mieć zdrowie i ładny wygląd niech się weźmie do najprostszych zajęć domowych. — Nic tak nie rozwija łydek i klatki piersiowej, jak chodzenie po schodach z koszykiem sprawunków, węgli i t. p.

Praca z wzniesionemi w górę rękoma, jak n. p. zawieszanie firanek, obrazów i portyer, znakomicie wpływa na rozwój biustu. Do wyrobienia łopatek i siły ramion nic tak nie pomaga, jak zwijanie się ze szczotką do zamiatania lub froterowania. Ćwiczenie to można jeszcze urozmaicić noszeniem wody w dwóch konewkach. Wyrabianie ciasta daje prawdziwą okrągłość i siłę przedramionom, a więcej w ciągu jednej godziny wyrobi mięśnie, niż cały tydzień poświęcony tennisowi. — Sport „domowy,“ zdaniem jego, ma jeszcze te nadzwyczajne zalety, że nie tylko nie wymaga żadnych opłat, ale przeciwnie, przyczynia się do oszczędności na utrzymaniu służby i nie wymaga również

wydatku na kostyumy sportowe. Profesor Sergent radzi wszystkim paniom próbować tego sportu.

* * *

Aktorki w Japonii.

Od lat dwóch, czyli od powstania cesarskiego teatru w Tokio, dziewczęta japońskie ogarnęła mania aktorska. Nie tylko robotnice fabryczne i rolne, lecz i córki najbogatszych rodzin zaczęły zazdrościć laurów Sada Yacco. — Córka posła do parlamentu japońskiego, panna Ritsuko Mori jest ulubioną subretką owej sceny. Córka znanego powieściopisarza Kukue Kawamara grywa z powodzeniem role charakterystyczne. Córka samuraja Chiycko odtwarza typy nowoczesne towarzystwa japońskiego.

Gwiazda cesarskiego teatru, osoba urodzona w domu zamożnym, panna Kaku ko Muraha posiada niezwykły talent i wielką inteligencyę. Aktorki japońskie nie poprzestają na odtwarzaniu ról rodzimego repertuaru — występują też w europejskich dramatach. I tak Nami ko Katsuse zdobywa poklaski w „Wesołych kumoszkach windsorskich." Sumo Matsuie debiutowała jako Ofelia, grywając następnie Norę i Magdę.

Najpopularniejszą obecnie aktorką w Tokio jest Uraji Kamiyama, której specyalnością są sztuki Shava. Wszystkie te panie pokończyły „hrabiowską szkołę", rodzaj kursów aplikacyjnych dla adeptek sceny.

* * *

Budynie.

Minęły czasy, kiedy każda pani domu przechowywała zazdrośnie mnóstwo kuchennych przepisów „po mamie", „po cioci", przepisów znakomitych i wypróbowanych na babę o 60 jajach, masę tortową, którą trzeba było trzy godziny ubijać itd.

W wieku pary i elektryczności ułatwiono nam wszystko: na gazowych maszynkach w mig przygotować można całe obiady —można nabyć już gotowe zupy, konserwy, sosy, a nawet sztrudle i budynie, wymagające wielkiej umiejętności i staranności.

Osobiście miałam wstręt do owych deserów „z papierka", Knorry, Herrmanny i Delkony miały we mnie przeciwniczkę nie tylko dlatego, że są wyrobami niemieckiemi, ale dlatego, że zawsze w smaku wyczuwałam sztuczny preparat, a perfumowane i zabarwiane mąki nadużywały szumnych nazw, do których nie miały prawa.

Dopiero tego lata spotkałam się w zagranicznym baardinghousie z fabrykatem, który pod każdym względem polecić mogę. Wyroby fabryki Pollacka w Groningen (Holandya) łączą w sobie przymioty, jakich się od kremów, galaret i budyni wymaga — i zupełnie nie można rozeznać, że nie są wynikiem kilkogodzinnej pracy w kuchni. Sposób przyrządzania jest niesłychanie łatwy, cena bardzo przystępna — egzystują w tuzinach gatunków. Sprowadziłam ich wiele podług cennika, którym firma służy na żądanie, i bardzo jestem zadowolona; myślę, że oddam przysługę niejednej pani domu, polecając smaczne, tanie i zdrowe desery.

Last, not least — właściciel fabryki budyni (pudding-fabrik) w Groningen, p. Pollak, jest niesłychanie życzliwie nam usposobiony, byłoby więc słusznem, abyśmy popierały jego wyroby, zamiast wydawać wielkie sumy na zakupno towaru mniej dobrego, dostarczanego przez wrogich nam przedsiębiorców.

W. T. S.

Marya Cesky.

O czem dąb gwarzył...

(Dokończenie).

Przyjechał pewnego dnia z siwym żydem, chodzili, oglądali, mierzyli, rachowali... I gdy powrócili raz drugi, to żyd znaki swoje na drzewach kładł, nacinając korę w trójkąt... wylewały się z ran srebrzyste łzy.

W moim cieniu czekała powrotu pana... pani. Blada była, smukła i dziwnie poważna, strój jej był ciemny i miękkiemi fałdami opadał ku ziemi. Każde uderzenie siekierki wstrząsało ją dreszczem, a wielkie, ciemne oczy błyszczały łzami. Więc pomyślałem sobie „ta cię zrozumie" i zacząłem jej szumieć odwieczną pieśń o jej własnego rodu dawnej potędze. Może zrozumiała, bo źrenice jej oschły z łez, a dziecięce usta ścięły się nagle w ostrą linię pełną siły i woli. Gdy z daleka dojrzała lalkowatą sylwetkę męża, pogardliwie drgnęły jej usta, zbiegły się brwi, a biała dłoń na chropawej korze mojej spoczęła.

— Zobaczysz... ja... moje dzieci na innych ludzi wychowam.

Byłbym się jej do stóp zwalił za te słowa.

Pan z żydem nadeszli, siekierka się wzniosła, by i mój pień naznaczyć, ale wtedy drobna dłoń spoczęła na mnie ochronnym ruchem.

— Ten jeden dąb zostaw mi Hermenelausie... proszę, proszę... Szumiał pradziadom naszym, niech i prawnukom przeszłość wspomina!

Uśmiechnął się żyd ironicznie.

— Kupiłem wprawdzie cały drzewostan, ale...

— Tego dębu ja sprzedać nie pozwolę! — a taka siła była w jej głosie, taka namiętna prośba w spojrzeniu, że do przeżytej twarzy pana uderzyła fala krwi... I darowano mi życie.

Przyszli ludzie... zahuczały w lesie siekiery, zazgrzytały piły, jeden po drugim padały leśne olbrzymy z trzaskiem bolesnym. Korony, które w niebo sięgały, w słońcu się pławiły, szumiały z wichrami, waliły się w rozwilgłą jesienną ziemię, w kurczu konania ryjąc w niej wyrwy głębokie. A żyd oglądał te cudne, zdrowe pnie i uśmiechał się, rachował kręgi drzewne i pejsy gładził. Kupno tego lasu robiło go z średniego handlarza powagą finansową.

Zostałem sam... Dołem młodziutki las gwarzył... takie dzieci, ni pogadać było z kim rozsądnie, ni o dawnych czasach wspomnieć, ni nad obecnemi zapłakać. Taka młódź... byle słowik ją piosenką cieszył, byle czerwona czapka muchomora bawiła.

I żal mi nieraz było, że młoda pani uratowała mi życie, gdy paść mieli wszyscy moi. Ale czas wszystkie rany zasklepia, leśne dzieci podrosły i z ogromnem uszanowaniem patrzały na mnie, a gdym gwarzył, to cały las w bezruchu stał i słuchał — spojrzał dąb na zasłuchane audytoryum — jako i wy dzisiaj — dorzucił.

— A pani dotrzymała słowa dziaduniu... byłyż jej dzieci innemi — szumiał pytaniem las.

— Były inne! Myślały o współbraciach, ojczyźnie w niewoli, cierpieli pod obcym knutem wszyscy i zaczęło się w nich budzić poczucie braterstwa. I gdy konstytucya trzeciego maja była niejako podaniem ręki ze strony szlachty ludowi, to ten lud przyciągnął tę dłoń i w gorącym zatrzymał uścisku... W kościuszkowskich szeregach błyskały biało-czerwone sukmany...

I przyszedł rok 1812.

O roku ów! któż ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud dotąd zowie rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny: dotąd lubią starzy
O tobie gwarzyć, dotąd pieśń o tobie marzy,
Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem.

Co wiatr nie opowiadał wtedy, jakie się to nadzieje snuły, jakie pragnienia narodem wstrząsały. Turkawki przypomniały sobie dziadów orłów i orlich próbowały lotów. I pisała historya o potężnym cesarzu Francuzów i o polskich szablach, płynęła polska krew obficie na polach bitew...

Patrzę raz, konnica jedzie, ale nie słychać ani czerkieskiej piosenki, ani moskiewskich żartów, żołnierzyki na schwał, młode, marsowe twarze, mundury leżą jak ulał, u czap karmazynowych bielą się kity wysokie, strzeliste, połyskują w słońcu złote blachy, srebrne szamerowania. Porucznik młody ich wiódł, taki do pani, co mi życie uratowała podobny... Te same oczy głębokie, ten sam rys silnej woli w linii ust.

Spojrzał na mnie i uśmiech rozjaśnił twarz młodą.

— Hej stary! poznajesz mnie, bawiłem się w twoim cieniu... a to, patrz, polskie legiony... idziemy Polskę budować... Szwoleżerowie gwardyi cesarza Napoleona, ci co byli pod Jeną i Auerstädtem, w chłodnych wąwozach Samo-Sierry, salutują cię stary, drogi olbrzymie.

Komenda...

Wzniosła się dłoń białą rękawiczką opięta do czapy karmazynowej, zabłysły szable... A mną takie ogromne wstrząsnęło wzruszenie... że mi się jedna gałąź odłamała i upadła młodemu szefowi oddziału pod nogi.

Podniósł ją końcem szabli i do czapy przypiął z uśmiechem.

— Dzięki ci staruszku za dobry znak.

Pognał kłusem w dal... jeszcze krakowiak skoczny doleciał na trąbie grany, a potem... cisza.

Dąb opowieść przerwał, snać go wspomnień otoczył szereg mar korowodem, bo dreszcz nim wstrząsał i sypał się liści wpół zielonych deszcz.

Zmarniało to w moskiewskich śmigach..., a potem wicher jeno o bolach opowiadał, o bezprawiach, o niewoli!

— Dziadku dębie — wciąż mi się dzisiaj przypomina, że mam groby pod sobą... Ty pamiętasz dziadku dębie, kiedy ich tu złożono w tem leśnem ustroniu? Co za ból nimi wstrząsał, za co poginęli? Wiatr mnie tu przyniósł przed laty, napotkałam ziemię dziwnie urodzajną, pulchną, a soczystą i zapuściłam korzonki, szczęśliwa, że ja córa brzozy cmentarnej przecież w lesie urosnę, swobodna, cudzym bolem ni wspomnieniami nie obciążona. Po latach... korzenie moje oplotły się dokoła czaszek i kości, a jakiś ból rozsnuł się w moim rdzeniu, i odtąd skarga jest w mojej pieśni wieczornej, czyjeś niewypłakane łzy... Ot i teraz, czaszki dosięgły korzenie... rozłupana na dwoje... jaki straszny cios...

Zamilkła, bo oto dąb zaczął gwarzyć, poruszając swoją królewską koroną jak gdyby z żalem.

— Czy pamiętam, kiedy ich tu złożono, brzózko cmentarnico?... Pamiętam!... Pamiętam... Dzieci to były, niedorostki, krew ich gorąca, serdeczna zwilżyła ziemię dokoła tak obficie, że mchy purpurą zakwitły... i ja, który nie na jedno patrzałem w życiu, niejedno przetrwałem, płakałem, gdy ich do grobu składano, na którym wzrosłaś o brzozo! Orlęta to były, które zawcześnie z gniazd uleciały, by bronić macierzy... i przeceniły siły swych skrzydeł... Straszny to był rok...

Westchnął dąb i otaczające go bluszcze i las do wtóru zaszumiał cicho i żałośnie.

— Straszny to był rok... wid bólu snuł się w przestrzeni, niedola szła... a nad koronami drzew płynęła zjawa śmierci i kosiła... kosiła życia ludzkie, młode, niewyzyskane siły. Odkąd tu rosnę — a sześćset lat już będzie bez mała, jak w jesienną noc, matka rodzicielka powierzyła mnie polskiej ziemicy — nigdy boleśniej mi nie było jak w roku owym. Wy buki, młodzieniaszkami wtedy byliście... wy sosny, młodym gęstym sprzerastanym lasem i tylko dokoła mnie przestrzeń wolna była, jako i dzisiaj swobodnie prężyłem konary.

— Tak, tak! dziećmi byliśmy — szepnęła sosna — jak przez mgłę coś pamiętam... pieśni... odblask ognisk, szare kożuszki... czapki siwemi barankami okładane... śnieg z deszczem... ziąb....

— Pod olbrzymim pniem moim zatknięto sztandar, na purpurowym tle wzlatywało orlę białe.

— A potem... zda się purpurowe tło spłynęło na ziemię, na podściółkę martwym orlętom...

Jęk wstrząsnął pniem dębu, jak gdyby łkanie.

— Opowiem wam o nich... o tej nocy pamiętnej. Przyszli tu nocą, jak duchów mścicieli gromada... przyszli życie dać. Z gołemi niemal rękami na wroga szli, karabinków mieli marnych kilkanaście, na ostro nastawionych kos ze trzydzieści, pradziadowskie rdzawe pałasze dźwigało kilku. Rozpalono w kręg ogniska, krwawa łuna oblała pnie drzew i młode, głodem i nędzą zciemniałe twarze... Taka to była młódź, dzieci prawie. Tułali się już od dwóch miesięcy, borami szli... do Langiewicza dojść chcieli. Upadali z głodu, ze znużenia... bo kryć się trzeba było nawet przed swymi... Rząd rozbudził u ludu tlejącą nienawiść i wroga widzieli ci zaślepieńcy w tych swoich, którzy za hasło mieli „za wolność naszą i waszą." Manifest rządu narodowego do ludu wiejskiego bez wrażenia przeszedł... jedni biernie na ruch spoglądali nie pomagając i nie szkodząc, inni wprost na rękę Moskwie szli i naprowadzali na ślad oddziałów wroga. Pomimo tego ta garść, co się przy ognisku kupiła głodna, zziębnięta, miała jakąś dziwną, niespożytą wiarę we własne siły, jakiś szał ofiarny.

I szkoda, że to tak na marne szło... że tak bez przygotowania rzucono tę młódź w wir walki, która się powieść nie mogła... bo przy odpowiednich środkach, w odpowiedniej chwili mogła być z nich siła ujarzmiająca świat... A tak, były to skazane na śmierć orlęta. Na wilgotnej ziemi pokładli się, gdzie kto mógł do snu... czuwałem ja, placówka i wódz.

Przygasły ogniska..., szaro-sine mgły rozproszył chłodny blask zimowego słońca... i równocześnie lasem wstrząsnął szum.

Wróg idzie... wróg... wróg...

W dali wiła się ciemna linia moskiewskiej piechoty, warczał taraban... Placówka sygnał dała...

Zerwali się od snu różowi, dusze ich wracały może z pod strzech rodzinnych chat, od pieszczot matki, trwożnego szeptu ukochanej... bo w niejednych szeroko rozwartych źrenicach, odbił się wyraz żywego bólu i zginął zaraz, ustępując miejsca szałowi ofiary.

Wtedy wódz rozesłał ludzi, by zbadali sytuacyę, pozostali pospiesznie zwijali obóz, kupili się do boju, sypali proch na panewki.

Taraban warczał, jak pies rozwścieczony.

Ludzie wrócili... z jednej strony półkolem nadchodziła moskiewska piechota, z drugiej była wieś, poza nią odwieczny bór, ale chłopi z cepami i kosami bronili dostępu do niej. Młody wódz wstrząsnął głową, po szeregu tych twarzy ciemnych, rozgorączkowanych spojrzał.

— Możnaby się przez wieś przebić, poszukać osłony w borach poza nią... ale... na swoich nie pójdziemy... Prawda bracia?

— Nie pójdziemy — odrzucono z szeregu.

— Dzieci jednej ziemi nie powinny się mordować wzajemnie.

— Ale oprócz drogi przez wieś, innego wyjścia niema dla nas z tej matni — ktoś zauważył.

Spokojnie, chłodno zabrzmiał głos młodego wodza.

— Jest... śmierć!

I nikt się już nie sprzeciwiał, uszykowali się, rozsypali w tyraljery po lesie... pochowali się w młodą olszynę, przylgnęli do ziemi wilgotnej i czekali.

A taraban warczał coraz bliżej i bliżej... rozległ się chrzęst łamanych gałęzi pod równym krokiem nadchodzącej piechoty.

Zgłuszona komenda. Z krzaków lunął grad kul i zmieszał szeregi, rwąc w równej linii wyrwy krwawe. Jęk zatrzepotał się nad koronami drzew.... strzały były celne.

Komenda... huk wystrzałów... Dym zasnuł powietrze i słychać było tylko dziki krzyk kozackiej konnicy, ruszającej do ataku, szczęk kos spotykających się z bagnetami, ranionych jęki.

Mijały godziny, słabnął odgłos wystrzałów... Moskalom nadeszły posiłki i śmielej rozpoczęli atak, coraz ciaśniejsze zataczając kręgi dokoła polskiego oddziału. A tu już prochu zabrakło i kul... drżące ręce napróżno w pustych ładownicach szukały naboi... ostatnim wysiłkiem woli dzierżyły broń.

Skupili się dokoła mnie... garść ich już tylko była, ale jeszcze nad ich głowami ulatywał biały ptak na purpurowem polu, z twarzy czarnych od dymu zwracały się ku niemu oczy rozgorzałe, jak gdyby wołając:

— Za ciebie ginąć nie żal!

Czekali nadejścia śmierci... Karabiny dzierżąc za lufy, spokojni, zdeterminowani, na wszystko gotowi.

Piechota wkroczyła na polankę i dojrzawszy tę garść młodzieży, wstrzymała się sekundowym odruchem zdziwienia... więc tak wyglądał wróg, z którym walczono godzin tyle...

Ze spieczonych warg młodego wodza zerwała się pieśń... podjęto ją w tej chwili i wzniosła się ku błękitnemu niebu poważna, wspaniała.

Boże coś Polskę przez tak liczne wieki...

Ginący powierzali Bogu kraj ukochany. Na mongolskich twarzach najeźdników wyraz zdziwienia ustąpił dzikiej wściekłości... posypał się grad kul znowu i znowu... Zerwała się gdzieś komenda:

— Żywcem brać!

Rzucono się więc... ale nad powstańcami zagórował jasny głos ich wodza:

— Nie damy się bracia... jeno śmierci.

— Nie damy się!

Kolby wymierzyły ciosy... purpurą krwi oblały bagnety... zabrakło miejsca do walki na broń, więc ramiona zczepiły się z ramionami... przylgnęła do piersi pierś. A śpiew rwał się jeszcze ku niebu... aż umilkł. Równocześnie zachwiał się biały ptak wraz z ostatnim obrońcą... Dziki cios szabli czerkieskiego oficera rozpłatał głowę wodza... to czaszka, którą oplotłaś korzeniami o brzozo...

Zrabowano z nich co się dało... swoich rzucili Moskale do wspólnego dołu, tam za lasem, rannych obu stron pozbierano na wozy... i znowu głuchy warkot bębnów, wyciągnęła się linia piechoty, rozległa komenda:

„W pochód rabiata!"

Odeszli.

I las zalegla cisza straszna, głucha cisza śmierci. Leżeli na purpurowem tle skrwawionych mchów, wpół obnażeni, szeroko rozwartemi szklistemi o-

Z rysunków humorystycznych Franciszka Kostrzewskiego.



Pozory często mylą.

— Jak też wujaszkowi musiało być gorąco w lecie, kiedy wujaszek był w Karlsbadzie.

— Przeciwnie, zawsze kładłem się wznak na słońcu, a cień od brzucha, padając na twarz, miły mi chłód sprowadzał.

czyma skarżąc się niebu... dzieci — bohaterowie!

Nadeszła noc i wlokła się godzina za godziną, a jam na straży u zwłok ich stał i groźnym poszumem gałęzi straszył zwabione wonią świeżej krwi wron stada.

Cisza... cisza...

I nagle turkot wozu ostrożny, stłumiony... z cienia drzew wysunęły się na polanę dwie postacie kobiece, staruszka siwa, przygarbiona i dziewczę ze złotemi warkoczami, — za niemi starzec sługa ciągnął wóz.

Przystanęły... objęły ramionami, jak gdyby jedna u drugiej wsparcia szukała, szeroko rozwarte ich oczy błądziły od twarzy do twarzy... a księżyc właśnie wysunął się z za chmur i oblał pełnią światła spokojne, skupione martwe głowy. Nagle z piersi dziewczyny jęk wypadł, jakby się w niej życie rwało... Do sztywnej postaci młodego wodza przypadła, do jego martwych rąk przylgnęły jej usta gorące.

Staruszka też pochyliła się nad wnukiem, drżące jej ręce nad jasną krwawą głową wyciągnęły się błogosławiąco... szept modlitwy zawiędłemi wstrząsnął wargami.

Chwila mijała za chwilą... wreszcie szept...

— Zamknij mu oczy dziecino... kochał cię... żoną mu miałaś zostać...

— Babciu!...

Białe, smukłe paluszki opadły na szeroko rozwarte oczy błękitne i zasłoniły je powiekami. Podniosły się, spojrzały sobie w oczy długo i staruszka przytuliła dziewczynę.

— Biedactwo kochane...

— O babciu! babciu...

A potem siwy starzec i dziewczyna zaczęli kopać grób, głucho uderzały łopaty o stwardniałą ziemię, krwawiły nienawykłe do takiej pracy rączęta dziewczyny.

Nad ranem grób był gotów, obszerny, szeroki. Zbierali zmarłych w lesie i znosili do wspólnego grobu, kładąc tak ostrożnie w głąb ziemi, jak matka kładzie dzieci maleńkie w kołyskę.

I gdy ranek nadszedł, gdyby nie grób świeży, nie mchy purpurowe... nie byłoby ni śladu z tych dwóch nocy dziwnych, strasznych.

Często potem złotowłosa dziewczyna przychodziła na mogiłę, wspierała główkę znużoną o mój pień... a jam pragnął, by twarda kora moja miała podatność puchu...

A potem... podobnoż ją za udział w powstaniu w Sybir powlekli... Babka umarła i opuszczony został grób. Jam tylko pamiętał. Nad krajem zwieszały się łuny pożaru, zniszczenie... dudniły kibitki, wiozące w dal zesłańców... Upadły wolne sny... zostały jeno krew, ból, łzy...

Tak gwarzył dąb stary, wiekowy, co inne pamiętał czasy. A gdy skończył, zasłuchane sosny i jodły i brzózka cmentarnica wydały jęk głęboki, co zdał się szeleścić i skargą rzewną i modlitwą nadziejną, tą samą, co przed półwieczem dobywała się z piersi spoczywających tu bohaterów.

Humor i satyra.

W restauracyi.

Literat (do kelnera): Co pan tak podejrzliwie na mnie patrzy, czy pan się boi, żebym nie uciekł?

Kelner: To nie, ale tego pana, który zawsze za pana dobrodzieja płaci, tak długo nie widać!

* * *

Chytry dorożkarz.

— Dorożkarzu, mnie pilno na dworzec, a tu koń wasz wlecze się tak ospale!

— Proszę pana — odzywa się dorożkarz tajemniczym głosem — koń ten, to stary wyga wyścigowy. Jeno mu krzyknąć, że markę przegra, gdy się spóźni, a zobaczyłby pan, jak się w nim ambicya odezwie.

Jadący gość zrozumiał chytrość dorożkarza i dał mu markę napiwku. No i mówił prawdę, bo gdy dorożkarz konia podciął, ten popędził jak wicher i stanął na czas na dworcu.

* * *

W szkole.

I.

Nauczyciel: Dlaczego przychodzisz tak późno do szkoły?

Wojtek: Bo byłem potrzebny ojcu.

Nauczyciel: Nie mógł się ojciec wyręczyć kim innym?

Wojtek: Nie.

Nauczyciel: Dlaczego nie?

Wojtek: Bo mi trzepał skórę.

* * *

II.

Nauczyciel (dyktuje): „Nieprzyjaciel wpadł do miasta i wyciął mieszkańców, nie wyłączając dzieci...“

Potem zwraca się do ucznia najwolniej piszącego: Masz już „dzieci?“

— Nie jeszcze.

— No to się śpiesz, ośle jeden! Patrz, wszyscy twoi koledzy już mają.

* * *

Roztargnienie.

Profesor (opowiadając): — A więc biedny mój siostrzeniec spadł w Tatrach i zabił się na miejscu. Oby mu to na przyszłość posłużyło za przestrogę!

Szarada.

Nadesłała czytelniczka „Pracy“ pani Stefania K. z Poznania.

Mam dwie sylaby — w nich cztery litery,
Zaś każda głoska też literę znaczy;
Chowa się we mnie listy i papiery,
Odgadnie łatwo kto pomyśleć raczy.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 2-go października włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej szarady.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie zagadki z nr. 37-go: Praca.

Trafne rozwiązanie nadesłali:

Z POZNANIA: pp. Wanda Otocka, Joanna Weiss, Z. Sicińska, Janek z pod Góry Przemysława, Michał Majsnerowski.

Z PROWINCYI: pp. Piotr Promiński z Gniezna, Marya Złotowiczowa z Miłosławia, Józef Kornaszewski z Inowrocławia, Seweryna Dobrzyńska z Gąsawy, Marcin Giera z Leszna, Stanisław Niewitecki z Ostrowa. K. Głębocka z Psarskiego, Jan Miękus i Józef Bachón z Goliny, Nina Siniecka z Szemborowa, J. Kaja z Rzadkowa, Konstancya Kolańczyk z Kowalewa.

Z GALICYI: pp. Wal. Staszak z Wadowic, Marya Zborowska z Andrychowa, Julia Gaweł z Męsznej Opackiej, G. Ochenduszkowa z Liska.

Z OBCZYZNY: pp. Teofil Goraus z Lyonu, Edward Senkowski z Wiednia, Pelagia Kramarczykowa z Hoppegarten pod Berlinem, Salomea Ziemecka z Berlina, Wojciech i Jadwiga Wrzesińscy z Złokomorowa, Z. Dąbrowska z Landsberga nad Wartą, Fr. Skotarek ze Styrumu, Ig Matuszak z Altenessen.

Nagrodę otrzymali: pp. Z. Sicińska z Poznania, Stanisław Niewitecki z Ostrowa, Pelagia Kramarczykowa z Hoppegarten, Fr. Skotarek ze Styrumu.



Nasz kącik.

Cześć Różańcowej...

Dziewczę, co świeci rumieńców zorzą,
Klęczy i wznosi oczęta
I zdobiąc kwieciem Mateńkę Bożą
Modli się: Święta, o Święta!
Jak Ci prababki moje służyły,
W każdej Cię życia czcząc dobie,
Tak dziś i zawsze, aż do mogiły
I ja też służyć chcę Tobie.
Czy to wśród pracy, w szczęściu, czy w trwodze,
Tyś była matek ostoją,
Z ślubem wierności dziś ja przychodzę
O, opiekunką bądź moją!
Najświętsza Panno, ach, imię Twoje
To pancerz serca i duszy,
Niem zwalczę wszystkie troski i znoje,
O nie zło wszelkie się skruszy.
Być córką Maryi, to chluba, chwała,
Co blaskiem młodej lśni Polce,
Bedę za Tobą Matko zdążała,
Choćby raniły mnie kolce.
Ach, Ty mnie naucz jak służyć trzeba:
Bliźnim, Ojczyźnie i Bogu,
By drogą cnoty dojść aż do nieba
I tam Cię ujrzyć na progu!
Choć jasna młodość świeci mi z czoła,
Ojczyzny mojej znam rany,
„Litości“, serce skrwawione woła
Dla mojej Polski kochanej!
A Różańcowa Panienka Święta
Słucha z za chmurnej mgły sinej,
Wszystkich próśb rzewnych słowa pamięta,
Nabożnej, polskiej dziewczyny.

— — — — — — — —

Za oknem wicher żałośnie wyje,
Deszcz w szyby mocno zacina,
Ostatniem kwieciem wieńczy Maryę
Zdobi ołtarzyk chłopczyna:
Z Twojem imieniem o święta Pani,
Stawali ojce przy pługu,
I ja Ci służyć chce jaknajraniej
I spłacić moja część długu.
Z Twojem imieniem, szli na wojenkę,
Walczyć za wiarę, kraj miły,
Ja również służyć, nucić piosenkę,
Pragnę Ci z całej mej siły.
Z Twojem imieniem już od kołyski
Szli ojce hen, aż do trumny
I ja, jak syn Twój, chce Ci być bliski,
Chce Twa miłością być dumny.
Kto Polak prawy, ten za Królową,
Mą Ciebie Panno Niebieska,
Więc z czcią przed Tobą uderzam głową,
W oku wzruszenia drży łezka,
Kochaj mnie, kochaj, o Matko Boża,
Czuwaj nademną w potrzebie,
Niechaj nie zbłądzę nigdy w bezdroża,
I kiedyś ujrzę Cię w niebie!
O, Różańcowa, gdy Ci cześć niosą,
Wszechświata różne narody
I ja Cię wielbię łez czystych rosą
Twój, z polskiej ziemi syn młody.
Chociaż nie wielkie ze mnie pacholę,
Czuję gorąco i szczerze,
O, Matko, odmień złą naszą dolę,
Przyjm za Ojczyznę pacierze!“
A Różańcowa, Matka jedyna,
Słucha z niebieskiej krainy
I błogosławi swojego syna
Na życia trud i na czyny...

P. W.

* * *

Pogadanka.

I oto znowu nastaje październik, miesiąc, poświęcony czci Najświętszej Panny, a zarazem czas waszych jesiennych wakacyj drogie dzieci. Tak jak przodkowie wasi czcili Królowę korony polskiej, Tę, „która w Wilnie z Ostrej świeci bramy“ i Jasną Górę broniła, tak i wy, dzieci polskie miłujcie Ją z całej duszy! W waszych ogródkach może jeszcze znajdzie się kwiecie nie zwarzone szronem; strójcie niem ołtarze Najświętszej Panny, zmawiajcie wspólnie różaniec, módlcie się dzieci! Ach, nam więcej niż innym narodom potrzeba łaski, opieki i wstawiennictwa Bożej Matki. Polecajcie Jej co dzień w modlitwach waszych uciśnioną Ojczyznę i proście, aby umysły wasze oświecała, a w serca tchnęła zamiłowanie **pracy, jedności i zgody,** abyście kiedyś dobrze służyli krajowi. — Ostatniemi przebłyskami ciepła śmieje się do nas słoneczko. Korzystajcie dzieci z pogody, by przed długą zimą zaczerpnąć w płuca powietrza. Biegajcie, bawcie się, ale zgodą, zgodą, dzieci! Czy to w gronie rodzinnem, czy wśród koła towarzyszek i towarzyszów bawcie się bez sporów i kłótni! Na cóż by sie zdały modlitwy wasze, przed tron Najświętszej Panny zasyłane, gdyby z chwały swojej patrzała na waszą niezgodę i sprzeczki? Niezgoda zgubiła Polskę, niezgoda rujnuje, co zgoda zbudowała. — Czy wiecie dzieci, kto jest najświetniejszym zwycięzcą? O, nie, nie ten, co wroga mieczem przebije i trupem położy na miejscu, lecz ten, cichy bohater, który umie zwyciężyć samego siebie; Pokonać własne złe skłonności, zaciąć zęby, by nie wybuchnąć gniewem, odmówić sobie tego, co sumienie jako złe i szkodliwe wskazuje. Dla miłości Matki Bożej Różańcowej zróbcie dzieci próbe: Postanówcie przez ten miesiąc czci Jej poświęcony być cichymi bohaterami: Zwyciężajcie siebie i chęć do opryskliwości, niezgody, grymasów i swarów! „Zwyciężaj siebie!“ Wielkiemi głoskami wypiszcie dzieci to hasło i zawieście je nad szafką, lub stolikiem, gdzie odrabiacie zadania szkolne, a w sercach waszych niech się ono wyryje niezatartym śladem. Życzę wam powodzenia, a wysiłki wasze pewnie Najświętsza Panna wam wynagrodzi! Wszakże to już tylko kwartał dzieli nas od chwili, gdy dorocznym zwyczajem obchodzić będziemy radosne święto narodzenia Bożego Dzieciątka. O, wtedy, cóż to za wesele i radość! To też dlatego, aby słusznie na nie sobie zasłużyć, już naprzód trzeba starać sie pilnie uczyć i zgodnie postępować, a i o uboższych bliźnich pamiętać się godzi. Jakże tam ma się sprawa z koszulkami, a skromne zabaweczki czy znajdą się dla ubogich dzieci? Czy dziewczynki poprosiły już Mamę o wyszukanie z dna kufra, lub komody kawałka płótna, albo perkalu? Czy chłopczyki myślą o tem, by z jakiejś deseczki wystrugać konika, lub pajaca? Pomyślcie o tem, bardzo proszę! Kto tylko wyłącznie o sobie i swoich przyjemnościach pamięta ten jest brzydkim samolubem. Broń Boże, by taka wada miała szpecić „Kącikowe dzieci,“ które mają być w przyszłości podporą kraju i zacnymi pracownikami! Oto więc dzieci plan wasz na czas jesiennych wakacyj: Modlitwa do Najświętszej Panny i strojenie Jej ołtarzy. Przechadzki na świeżem powietrzu, zabawy w gronie towarzyszy w zgodzie i jedności! Ciche bohaterstwo, czyli zwyciężanie siebie, a wieczorami praca dla drugich, szycie koszulek i przygotowywanie zabawek. O wspólnem przytem czytaniu, o nauce polskiego języka, już nawet nie wspomniałam, bo to się samo z siebie rozumie, jak i to, iż pragnę wiedzieć, na jakie świadectwa zasłużyłyście dzieci? Z Bogiem, najdroższe moje pociechy! P. W.

* * *

Odpowiedzi.

Jaskółka z niewoli. Ogromnie mi przykro, moje kochanie, że się z tobą na stacyi nie zobaczyłam, ale w tym roku inaczej mój objazd rodziny skierowałam i na razie w strony Oleśna nie zboczyłam wcale. Wczoraj t. j. 17. 9., wróciłam z Królestwa, gdzie pod Sieradzem bawiłam czas jakiś i na przyszły tydzień opisze jeden z tamtejszych kościołów. Praksia Wykrzykowska, Wilmersdorf. Teraz właśnie, gdy straciłam kilka ukochanych czytelniczek, nowa i taka milutka, ogromną mi radość sprawiła. Liścik ślicznie napisany, buzia uśmiechnieta wprost do serca się wkrada; spełniaj Praksiu wszystkie prośby „Kącika,“ a wówczas na pewno staniesz sie jego miłem dzieckiem. Proszę o liściki! Lilijka. Berlin. Cieszę się z wrażenia, jakie wywarło na tobie opowiadanie o prześladowaniu ludu podlaskiego. Powracaj często do tej książeczki, zwłaszcza wówczas, gdy sama doznasz prześladowania z powodu twej religii, lub narodowości! Stokrotka z Ch. Co znaczy moja miła twe milczenie? Jaskółka z niewoli i Gwiazda przewodnia niepokoja się o ciebie! Kazik Ochenduszko. Lisko. Dziękuję ci mój chłopczyku za kartke, a czy dobre masz wiadomości od Stacha i Marysia? Gdy obecny „Kacik“ czytać bedziecie, wasza przyjaciółka nareszcie powróci na zimę do domu, więc liściki po dawnemu możecie adresować na ulicę Kopernika 8. — Tysiące uściśnień wam ślę tymczasem. P W.



Sen szczęścia.

Powieść J. Goldegg-Fedrigotti.

12) Tłum. P. Otrys.

(Dokończenie.)

Hrabia Lassen tymczasem opowiada hrabiance Fritzi i jej przyjaciółkom o matce Koralii. Po upływie kwadransa wie całe towarzystwo, że matka jej była baletniczką i wszyscy oburzają się strasznie na Wandę, że śmie przedstawiać dziewczynę „takiego pochodzenia" jako swoją przyjaciółkę. Hrabianka Fritzi zakazuje wprost kilku młodym hrabiom i baronom rozmawiania z Koralią i twierdzi, że żadna z obecnych panien nie powinna jej nawet „widzieć." Obcowanie z córką baletniczki może wywrzeć na młode umysły wpływ demoralizujący!

Koralia tymczasem, nie wiedząc nic o spisku, jaki przeciwko niej układają, szuka ciągle jeszcze Wandy i przechodzi przez salon jadalny, w którym stoi kilku mężczyzn. Jednym z nich jest ów stary mężczyzna, książę Oehningen, lecz w tej właśnie chwili woła ktoś: „hrabio Throenen," i książe obraca się natychmiast do wołającego.

Koralia staje jak wryta. Gdzie jest hrabia Throenen? Kto to jest? Gdzie słyszała to nazwisko?

Wejście lokaja przerywa jej myśli.

— Gdzie jest baronówna Wanda? — pyta.

— W swoim pokoju.

Koralia biegnie tam i spostrzega Wandę leżącą na kanapie, z głową w poduszkach ukrytą.

— Co ci jest? — szepce, zbliżając się do niej.

— Ach, zostaw mnie samą! — woła biedna dziewczyna rozpaczliwie. — Jaka męka bawić się, śmiać się i rozmawiać, gdy serce pęka z bólu. Babcia chce mnie rozerwać, ale ja nie mogę tego znieść! Jak ja go kochałam! O Boże, jak ja go kochałam!

Pół godziny później są obie już znowu w salonie i na życzenie Wandy prowadzi książe Edi Koralię do bufetu. Tuż przed nimi stoi Fritzi z Lassenem — piękny Rudi rozmawia żywo z swoją towarzyszką, udawając, że Koralii wcale nie widzi. Książe Edi stara się zająć Koralię tak, aby nie zauważyła niegrzeczności Lassena, w końcu jednak, nie mogąc pohamować gniewu, chwyta go za ramiona, odwraca przemocą do Koralii i mówi z uśmiechem:

— Pozwól pani, że ci przedstawię hrabiego Lassena!

— Znamy się, — odpowiada Lassen, wściekły na księcia.

Koralia, której ta scena bardzo jest nieprzyjemną, zwraca się do nadchodzącej młodej baronówny Horn z jakiemś pytaniem, lecz hrabianka Fritzi mówi do baronówny głośno, tak, że wszyscy słyszeć ją mogą:

— Bensie, nie rozmawiaj z nią!

Koralia patrzy na hrabiankę Fritzi jak nieprzytomna, potem odchodzi od bufetu i nie pożegnawszy ani księżnej, ani nawet Wandy, jedzie do domu. Tak jest tem wszystkiem, co ją tam spotkało, oszołomioną, że nawet myśli zebrać nie może — wie tylko tyle, że ją obrażono, i że nikt jej nie bronił, nikt się za nią nie ujął!

Grace czeka jeszcze na nią.

— Jak się bawiłaś? — pyta ciekawie.

— Dobrze! Ale czemu nie śpisz jeszcze?

— Nie byłam zmęczoną. Mama była w teatrze i niedawno wróciła. Jakiś pan odwiózł ją i został u nas na kolacyi.

— Zapewne stary książe Oehningen, — myśli Koralia.

Tej nocy Koralia nie spała wcale. W uszach jej brzmiały ciągle słowa hrabianki Fritzi:

— Nie rozmawiaj z nią! Nie rozmawiaj z nią!

— — — — — — — — — — —

Nazajutrz jest o wiele spokojniejszą, lecz Wanda inaczej zapatruje się na tę rzecz.

Zaraz po odejściu Koralii opowiedział jej wszystko książe Edi, Wanda zaś, prędka i gwałtowna, urządziła taką scenę hrabiance Fritzi, że i ta złośliwa dziewczyna opuściła towarzystwo z płaczem i straszną w sercu złością.

Wanda przeprasza Koralię za przykrość, jakiej doznała w domu jej babki i błaga ją, aby to nie wywierało żadnego wpływu na ich przyjaźń.

— Więcej nie mogłam uczynić, jak wyrzucić Fritzi, — mówi szczerze strapiona, — babcia też ogromnie zmartwiona, bo wiesz jak cię kocha!

Koralia zapewnia ją, że już prawie o wszystkiem zapomniała i obie przyjaciółki rozchodzą się w najlepszej zgodzie. Gdy Koralia wyprowadza Wandę do sieni, spotyka tam posłańca z przepysznym bukietem.

— Dla kogo to? — pyta Wanda, patrząc z zachwytem na prześliczne róże i storczyki.

— Dla hrabianki Ziernberg.

— Ach, i od kogo?

— Od księcia Fuernstein!

Wanda wraca z Koralią do pokoju i głośnym, serdecznym wybucha śmiechem.

— Odbiłaś mi wielbiciela! — woła. — Niewierny Edi. — Koralia śmieje się także, mianowicie, gdy w tejże chwili puka ktoś do drzwi i zaraz potem wchodzi znowu jakiś posłaniec z drugim, jeszcze piękniejszym bukietem.

— Czy i to dla mnie? — woła rozbawiona.

— Nie! To dla pani Binning od hrabiego Throenen!

Na dźwięk tego nazwiska zrywa się Wanda i wydziera kwiaty z rąk Koralii.

— Czy ty znasz — tego człowieka — pyta.

— Nie! Słyszałam to nazwisko wczoraj u was i zdaje

mi się, że obcem mi nie jest — — ale nie mogę sobie przypomnieć...... kto to jest?

— Ach — ja myślałam, że on tu bywa, i chciałam się przestrzedz — jest to stary flirciarz......

— Ja go nie znam wcale.

— Wiesz — wracaj do Hochnaturns, do ciotki Ilmy. Tutaj nie jest dla ciebie odpowiednie miejsce pobytu, — mówi Wanda prędko i wychodzi.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Wanda wyjechała, pani Róża zajęta jest przeprowadzką do Ischl, a Koralia przepędza całe dnie w swoim pokoju, w towarzystwie Grace.

Pewnego dnia, po śniadaniu, oświadcza pani Róża Koralii, że wiedziona troskliwością o jej przyszłość, napisała do Eberharda Ziernberga z prośbą o podwyższenie jej renty.

— Dziś otrzymałam odpowiedź od niego, — mówi zadowolona — bardzo grzeczną! Pisze, że zgadza się chętnie na moje życzenie, i że odtąd będzie ci płacił trzy tysiące guldenów rocznie. Z tem możesz wystarczyć!

Twarz Koralii jest śmiertelnie blada. Zdaje jej się, że nie rozumie tego, co słyszy! Jakto, jej matka pisała do niego o pieniądze? Boże, jaki wstyd! Jakie straszne upokorzenie!

— I cóż, milczysz? — pyta pani Róża zdumiona, — czy spodziewałaś się więcej? W każdym razie powinnaś mi być wdzięczną za to, co uczyniłam dla ciebie.

— Mamo, — szepce Koralia ochrypłym głosem, — ja tych pieniędzy przyjąć nie mogę!

— A to co? Czemu?

— Bo nie chcę żyć z cudzej łaski!

— Oszalałaś chyba! Myślisz, że będę zważała na twoje wygórowane uczucia dumy? Zrobię to, co uważam za potrzebne, rozumiesz?

— Ja tych pieniędzy nie przyjmę, — odpowiada Koralia stanowczo.

— Jesteś dziś rozdrażniona, pomówimy o tem na inny raz! W każdym razie żądam, abyś się ubierała inaczej — nie chcę, aby cię uważano za guwernantkę Grace!

— Mogę wrócić przecież do ciotki Ilmy!

— Acha! Zawsze i wszędzie ciotka Ilma! Naturalnie! Święta kobieta! Tęsknisz za nią, co? Ach ta intrygantka! Kochasz ją więcej, niż mnie! Głupia!

Pani Róża zapomina się i krzyczy tak, jak ostatnia przekupka. Potem porywa jakąś figurkę porcelanową, leżącą na stole, rzuca ją w złości na ziemię i ucieka do swego pokoju.

Grace, będąca świadkiem tej sprzeczki, zbliża się do Koralii i całuje ją serdecznie.

— Słusznie robisz, — mówi, — że nie chcesz przyjąć tych pieniędzy. Ja bym ich też nie przyjęła. Wczoraj był u mamy hrabia Throenen i przyniósł mi pudło cukrów — ale powiedziałam mu, że mogę sobie sama kupować cukierki! Mama gniewała się na mnie o to!

— Throenen? — powtarza Koralia zdumiona, — więc on tu bywa?

— Naturalnie!

— — — — — — — — — — — — — — —

Koralia otrzymała list od ciotki Ilmy i czyta go z wielkiem zajęciem.

Hrabina donosi jej, że wuj Ernest już zupełnie zdrów, że synek księżnej Matyldy umarł, i że porucznik Ullrich dostał obłędu wielkości i znajduje się w domu obłąkanych w O.

Koralia chce ustępy te przeczytać matce — idzie więc do jej pokoju i wiedząc, że matka jest tam sama, uchyla portyerę. Lecz w tej samej chwili spuszcza ją, cofa się żywo, i twarz jej gorącym pokrywa się rumieńcem. To, co widziała, przeraża ją tak, że najchętniej uciekać by chciała z domu matki.

Widziała matkę w objęciach mężczyzny, i to starego księcia Ochningen!

Jest to dla niej cios okropny!

— Koralio — woła Grace, wbiegając do pokoju — chodź na herbatę, hrabia Throenen jest u mamy.

— Kto? Przecież książe Oehningen!

— Ach głupstwo! Hrabia Throenen! Znam go przecież doskonale! Oehningen nie bywa u nas.

W tej chwili przypomina sobie Koralia, zkąd zna to nazwisko! Hrabia Throenen był wielbicielem jej matki, zabił ojca w pojedynku i uciekł z nią potem do Ameryki!

Zanim zdoła coś odpowiedzieć, wchodzi pani Róża z hrabią, a Grace opowiada mu o omyłce Koralii.

— Myślałam dotąd, że pan jesteś księciem Oehningen! — woła, śmiejąc się.

Hrabia zwraca się do niej z uprzejmym uśmiechem.

— Już mnie Grace przedstawiła pani.... — zaczyna, lecz Koralia przerywa mu szorstko:

— Tak, wiem, kto pan jesteś! Ja zaś jestem córką Janusza Ziernberga!

Throenen patrzy na nią przerażony, chce odpowiedzieć, ale Koralia wychodzi z pokoju.

Zamyka się na klucz w swej sypialni, i nie myśli o niczem innem jak o tem, że widziała matkę w objęciach mordercy ojca!

— Nawet w śmierci urągają ci jeszcze, mój ojcze, — woła, — nawet w śmierci nie umieją cię uszanować.

Wrażenie, jakiego dziś doznała, zbyt silnie działa na jej serce. Gwałtowny kurcz pozbawia ją przytomności i jak nieżywa pada na ziemię.

— — — — — — — — — —

Gdy późno w nocy przychodzi do siebie, zaczyna rozmyślać nad swoją przyszłością i dochodzi do przekonania, że tutaj ani chwili dłużej zostać nie może.

Dokąd jednak ma się udać? Do ciotki Ilmy nie może, lęka się bowiem jej pytań i zarzutów wuja — a więc pojedzie do matki Agnieszki! Tam jej nikt pytać nie będzie — tam w ciszy i samotności klasztornej odzyska siły fizyczne i spokój duszy.

Pakuje zatem szybko najpotrzebniejsze rzeczy do małego, ręcznego kuferka, pisze kilka słów do matki, donosząc o wyjeździe do klasztoru, i wychodzi z hotelu, jak prawdziwie bezdomna, opuszczona istota, idąca w świat — na życie tułacze, niepewne.....

Młodość jej zamarła — sen szczęścia rozwiany.....

Z dworca telegrafuje do matki Agnieszki, że przyjeżdża — potem wsiada do wagonu — pociąg rusza — i Koralia, jadąca sama w przedziale, gorżkiemi zalewa się łzami.

— — — — — — — — — —

Po długiej, uciążliwej podróży staje nareszcie w N. Przybywa tam w nocy, sama, przez nikogo nie oczekiwana i tak zmęczona, że się ledwie na nogach utrzymać może. Wynajmuje lichą jakąś bryczkę i każe się wieść do klasztoru.

Przed bramą stoi siostra Anna. Odbiera jej rzeczy, płaci doróżkarzowi i znika z Koralią w długim, ciemnym korytarzu.

— Dzięki Bogu! — myśli Koralia, — jestem nareszcie w domu!

Siostra Anna prowadzi ją do pokoiku, w którym mieszkała dawniej, i to wzrusza ją niezmiernie. Nic się tu nie zmieniło — nic — tylko jaka zmiana zaszła w niej samej przez te dwa lata! Wyszła ztąd szczęśliwa, swobodna, peł-

na zaufania i miłości dla ludzi, a wraca jak ptak z złamanemi skrzydłami!

— — — — — — — — — —

Dzień jeden upływa po drugim. Koralia jest o wiele spokojniejszą, lecz z każdym nieomal dniem staje się słabszą i bledszą. Kurcz serca powtarza się coraz częściej i gwałtowniej tak, że zwykle traci na pewien czas przytomność, i lekarz daremnie zapisuje coraz to inne lekarstwa.

Ale Koralia czuje się tu szczęśliwą.

Pewnego dnia wchodzi do jej pokoju matka Agnieszka, trzymając za rękę młodą, wytwornie ubraną dziewczynę.

— Przyprowadzam ci tutaj, — mówi z uśmiechem, — twoją najmilszą przyjaciółkę.

— Wanda! — woła Koralia. — To być nie może!

Jest to rzeczywiście Wanda.

— Nie mogłam wytrzymać dłużej w świecie — pomiędzy ludźmi, — odpowiada smutnie. — Tęskniłam za ciszą klasztorną i babcia i ojciec pozwolili mi tu przepędzić kilka tygodni!

A gdy po odejściu matki Agnieszki zostaje sama z Koralią, dodaje ciszej:

— Zostanę tu pewnie na zawsze! Nie ma już dla mnie szczęścia na ziemi — zanadto kochałam Josi! — Nie mogę go zapomnieć i zresztą — przysięgłam mu wierność aż do śmierci!

— — — — — — — — — —

Zemdlenia Koralii powtarzają się coraz częściej, lekarz stwierdza brak krwi i błąd serca i przepisuje zmianę miejsca pobytu. Matka Agnieszka pisze do ciotki Ilmy. Koralia cierpi na częsty ból głowy, czuje nieprzezwyciężoną chęć ciągłego spania i ma co kilka dni gorączkę. Nie przypuszcza jednak, że jest chorą, oprócz bólu głowy nie znosi żadnych dolegliwości, więc też nie zdaje sobie z stanu zdrowia swego żadnej sprawy.

Grace pisuje do niej często, czułe, serdeczne listy, pełne zarzutów z powodu nagłego wyjazdu i zapewnień miłości. Pani Róża dołącza też czasem kilka słów, tchnących nienawiścią dla hrabiny Ilmy, którą nazywa „sprawczynią wszystkiego złego."

Raz pisze Grace, że hrabia Throenen codziennym u nich jest gościem, i że kto wie, czy nie zostanie jej nowym ojcem!

Koralia zaczyna wątpić o sprawiedliwości Boskiej. Jest to dla niej wiadomość wprost przerażająca!

— — — — — — — — — —

Siły jej upadają z dnia na dzień — twarz staje się coraz bledszą i przezroczystszą, oczy coraz większe i więcej błyszczące.

Raz, gdy po długiem zemdleniu odzyskuje znowu przytomność, widzi pochyloną nad sobą twarz ciotki Ilmy i słyszy jej głos łagodny i dźwięczny:

— Przyjechałam tu, aby cię zabrać do Hochnaturns!

— — — — — — — — — —

Po raz ostatni obejmuje Wanda Koralię w gorącym uścisku.

— Zostaniesz tu, doprawdy? — pyta Koralia ze łzami w oczach.

— Tak! Moje miejsce jest tutaj. Świat zobojętniał mi zupełnie — Josi w grobie.....

— — — — — — — — — —

Prześliczny dzień latowy. Kwiaty roztaczają słodką woń w około, cała przyroda skąpana jest w złotych promieniach słońca.

Na tarasie pałacowej w Hochnaturns, obrosłej klematysem i glycynią, leży Koralia na długiem ogrodowem krześle. Szalony upał nie dokucza jej wcale — przeciwnie, służy jej nawet, zwykle bowiem wstrząsa zimno jej członki. Ciemne oczy zwrócone są na bukiet cudnych czerwonych róż na stoliku — kolor ich i woń upajająca cieszy ją i zachwyca. Cała postać Koralii w białej batystowej sukni, jest prawdziwie „nadziemską."

Koło niej siedzą ciotka Ilma i proboszcz — z salonu dochodzi ich głos hrabiego Tablanda, łającego i gderającego, jak zwykle wszystkich — o wszystko.

Proboszcz opowiada o budowli Przytułku dla dzieci. Dom już skończony, chodzi tylko jeszcze o wewnętrzne urządzenie. Koralia słucha z zajęciem — potem myśli o Eberhardzie. Chciałaby tak chętnie spytać kogo, czy on szczęśliwy, czy ofiara jej daremną nie była — lecz nie śmie. Wyrzekła się szczęścia dla obowiązku i teraz nie cierpi już tak bardzo.....

Koralia zostaje dziś długo na tarasie, bo powietrze jest gorące i parne. Miliony gwiazd jaśnieją na ciemnem sklepieniu niebios, odcinającem się wyraźnie od ciemniejszej jeszcze barwy gór. Krople fontanny z cichym spadają szelestem , w dali szumi strumyk — zresztą głęboka cisza w naturze — ziemia wypoczywa. Gwiazda jedna spada i gaśnie jak życie człowieka — w krzewach odzywa się teraz słodki śpiew słowika......

— — — — — — — — — —

Z końcem lata Eberhard z Dithą mają wyjechać do Hochnaturs. Powietrze już chłodniejsze — Koralia okrywa się szalami, drży z zimna.

Nareszcie nadchodzi dzień przyjazdu oczekiwanych gości. Gdy powóz staje przed pałacem, idzie Koralia na przywitanie przybyłych — serce jej uderza gwałtownie i biedna chwieje się tak, że Eberhard biegnie ku niej i silnem podtrzymuje ją ramieniem. Nie patrzą wcale na siebie, lecz Eberhard widzi pomimo to zmianę, jaka w niej zaszła. Widzi jej twarz bladą, wychudłą, czuje bicie jej serca wzruszony, prowadzi ją ostrożnie, jak słabe dziecko, do salonu. Ditha idzie naprzód z ciotką Ilmą — obie rozmawiają żywo i nie zwracają żadnej uwagi na Koralię i Eberharda.

Ditha wypiękniała i jest znowu ową królową salonów, jaką dawniej była. Ale twarz jej ma jednak pewien wyraz smutku, a chociaż oczy jej promienieją szczęściem, gdy patrzy na męża, to każdy łatwo odgadnąć może, że oczy te dużo łez wypłakały i nie zawsze tak były promienne, jak teraz.

Opowiada ciotce Ilmie o pobycie w Anglii i o spotkaniu się tamże z księżną Matyldą.

— Nieporozumienie nasze — mówi z uśmiechem — wyjaśniło się zupełnie i kochamy się tak, jak dawniej. Matylda bardzo jest szczęśliwą — za trzy tygodnie odbędzie się w Zurychu ślub jej z Karolem Macchio. Zasłużyła sobie na to szczęście!

Koralia milczy. Zdaje jej się, że wszystko jest snem, nie może uwierzyć, że idzie oparta na ramieniu Eberharda, że jest blizko niego, że znów może patrzeć na niego i słyszeć ten głos, za którym tak okropnie tęskniła...

Eberhard pochyla się ku niej.

— Koralio! Siostrzyczko moja... — mówi drżącym ze wzruszenia głosem.

— Tak, siostro... jestem siostrą twoją — odpowiada Koralia zbielałemi ustami.

Potem nagle czuje szalony zawrót głowy i z cichym jękiem osuwa się mu w objęcia. Członki jej stają się sztywne — ostatnim wysiłkiem woli chce się podnieść, lecz siły jej wypowiadają posłuszeństwo. Potem nie wie już nic, co się z nią dzieje...

— — — — — — — — — — — —

Koralia jest ubezwładniona.

Lekarz oświadcza, że na razie niebezpieczeństwa niema, ale...

Ona sama czuje, że koniec jej zbliża się. Pomimo to jest spokojną a nawet wesołą. Ciotka Ilma, Ditha i Eberhard nie opuszczają jej ani na chwilę, nawet wuj Ernest siedzi godzinami przy jej łóżku i stara się zabawić ją swemi dowcipami.

Koralia przyjmuje z wdzięcznością wszystkie dowody miłości i przywiązania. Nie cierpi nic, rozmawia więc swobodne o wszystkem. Czasem tylko, gdy patrzy na Eberharda, napełnają się oczy jej łzami, lecz nikt tego nie widzi...

— — — — — — — — — — — —

Pewnego wieczora mówi do Dithy:

Pozdrów Wandę i powiedz jej, żeby się przedwcześnie nie wiązała ślubami zakonnemi. Za rok lub dwa, gdy żal jej złagodzi się trochę, wróci znów do ludzi...

Potem podaje rękę Eberhardowi i zasypia na chwilę. Gdy otwiera oczy, widzi, że on sam siedzi przy niej i uśmiecha się radośnie.

— Czekałam na tę chwilę — szepce. — Umieram, więc mogę ci powiedzieć — że kochałam cię nad wszystko, nad wszystko w świecie!...

Zanim Eberhard zdołał odpowiedzieć, wraca Ditha z ciotką Ilmą. Godzinę później przyjmuje Koralia ostatnie śś. Sakramenta i żegna wszystkich.

Nad wieczorem zaczyna tracić przytomność. Wymawia imiona Wandy, Grace, modli się — potem gowa jej opada na poduszki, jeszcze jedno westchnienie — i czysta jej dusza odchodzi do Boga.

— — — — — — — — — — — —

W białej sukni, z wieńcem białych róż na jasnych włosach i białym welonie, leży Koralia w trumnie. Blask świec rzuca złote światło na tę przecudną, młodą twarzyczkę promienną niebiańskim spokojem. Leży uśmiechnięta, jak gdyby śniła o szczęściu, którego na ziemi nie zaznała...

Eberhard stoi przy trumnie, zapatrzony w tę twarz drogą, ukochaną, potem pochyla się i dotyka ustami zimnego czoła.

— Bądź zdrową, najdroższa — mówi cicho — bądź zdrową!..

Patrzy na nią długo, długo, jak gdyby chciał obraz jej wyryć na zawsze w swej pamięci, bierze jedną z róż z martwych jej palcy i chowa ją na sercu. Jest to jedyna, ostatnia po niej pamiątka.

Dusza Koralii podobała się Bogu, dlatego zabrał ją wcześnie do siebie.

Przez otwarte okna zaglądają promienie zachodzącego słońca. W ogrodzie ostatnie kwitną kwiaty, świerszcze wieczorne rozpoczynają granie i ptaszki milkną, aby jutro swym świergotem weselić ludzi.

Wszystko dawnym idzie trybem.....

KONIEC.

Gerolamo Rovetta.

Kwintyn i Marek.

(Z włoskiego.)

(Dokończenie.)

Długo się wałęsał, aż w końcu spotkał się z linoskokiem, który go wziął z sobą, nauczył swego rzemiosła i przygotował do życia za pomocą uderzeń i razów. Potem wędrowny ten akrobata umarł gdzieś w stajni z suchot, jak małpa, i swemu „alter ego" zostawił w spadku zniszczone trykoty, zatłuszczony kapelusz i podartą kurtkę. Kwintyn prowadził dalej smutną tę egzystencyę na własną rękę i pewnego dnia napotkał Marka, w ten sam sposób, w jaki spotkał go jego mistrz przed kilku laty, i już się nie rozstali, lecz sam na sobie doświadczywszy, jak bolą i palą kopnięcia nogą i kułaki, oszczędził swemu psu takiego traktowania. Nie mógł go jednak uchronić od głodu, napociechę znosili tę mękę razem, a znosili tak cierpliwie, że Kwintyn wobec wyborowej publiczności zwykł był mówić z uśmiechem, w którym malował się smutek pomieszany z pewną słodyczą: „Z głodu się nie umiera, prześwietni panowie, mówię to z praktyki, lecz proszę was o grosik, bo „vice versa" można umrzeć z pragnienia".

Żart ów pobudzał do śmiechu i do oklasków tych wszystkich, którzy zwykli byli obiadować; nawet biedaczysko Kwintyn, gwoli dalszej zabawie publiczności, stroił pocieszne miny i gadał koncepty, lecz podczas gdy jego ręce bębniły po pustym brzuchu, oczy tymczasem z ogromnem współczuciem i rozpaczą patrzyły na wiernego towarzysza sławy... i postu.

Bądź co bądź najgroźniejszym wrogiem obydwóch nędzarzy była zima. Latem, rozumie się, nawet w największy upał, przy największem zmęczeniu, mogli znaleźć ochłodę w cieniu gęstych drzew lub nad brzegiem rzeki... zato zimą, gdy mróz, śnieg, noce nieskończone?......

A właśnie zimą, o zmroku, razu pewnego po całodziennej wędrówce Kwintyn z Markiem znaleźli się w pobliżu jakiegoś miasta... Zaliż nie znajdzie się tu jaka dobra dusza, w takiem zbiorowisku ludzi, którąby z litości zaspokoiła ich głód?... Czy wśród tylu domów nie znajdzie się dla nich jakiś kąt, jakiś przytułek, gdzieby się ogrzali i wypoczęli?...

Deszcz padał gęsty, drobny, lodowaty. Kwintyn nie miał na sobie ani kurtki ciepłej — oddał ją jakiemuś wyrobnikowi za kęs strawy... W porównaniu z nim Marek mógł się uważać za pana, i Kwintyn powiedział mu to.

— Odwagi, Marku, masz przecie futro, jak jaki hrabia, jak jaki bogaty pan!...

Marek za całą odpowiedź poruszał się żywo i strząsał wodę z czarnych kudłów.

Skoro znaleźli się u bram, strażnicy zaczęli śmiać się



Alfred Wiarusz Kowalski.

Powrót z miasta.

Album „Pracy“.

Drukiem „Pracy“.

z Kwintyna, który w lekkiem swem ubraniu trykotowem szczękał zębami z zimna.

— Patrzcie go, co za baletnik! A nie zapłacisz nam czasem podatku? — wołali żartem żołnierze.

— Zapłacę wam... mam tu pod płaszczem schowaną szynkę.

Ta odpowiedź jeszcze więcej wprowadziła straż w dobry humor, pozwolono mu też odejść bez żadnych przeszkód.

W miarę tego, jak biedny błazen zagłębiał się coraz dalej w ulice miasta, robiło się jednak coraz ciemniej i zimniej. Drzwi domów były już pozamykane, magazyny ze swemi szerokiemi wystawami również, a mała garstka przechodniów na ulicy biegła szybko pod parasolami, uciekając od deszczu, który zamieniał się w śnieg. Kwintyn czuł w pustym żołądku dojmujące bóle głodu, sztywniał od zimna, upadał ze zmęczenia, a jednak serce mu się ściskało na myśl, że trudno dać przedstawienie w taką szkaradną pogodę i tak późno.

Począł tedy iść spieszniej, chcąc dobiedz prędko do głównego placu... Doszedłszy tam, spostrzegł, że wszędzie było pusto — nigdzie żywej duszy; nawet dorożkarze znikli, a plac pokrywał się powoli białą warstwą śniegu.

Kwintyn zgnębiony stanął, popatrując na psa, ten zaś skomlał po cichu. Tymczasem stróże zapalali latarnie; przy świetle Kwintyn dojrzał z tamtej strony kawiarnię z niewielkim portykiem, oświetloną czerwonem światłem i gromadkę ludzi stojących przy drzwiach magazynu.

Widok ten pocieszył go zupełnie. Jął oddechem ogrzewać sobie ręce i walić się w piersi dla lepszego skutku, wyciągać przytem skostniałe nogi w zmoczonych trykotach, poczem ruszył przez plac do owych panów, którzy w ciepłem ubraniu stali i przypatrywali się padającym grubym płatom śniegu; następnie zdjąwszy kapelusz, zaczął recytować jeden ze swoich najudatniejszych konceptów.

— Przesławni panowie, raczcie obdarzyć łaskawem współczuciem tego tu pana Marka — i wskazał na psa — oraz pokornego Kwintyna, czyli mnie, dwóch ministrów finansów na spacerze, którzy popisywać się zaraz będą nadzwyczajnemi, niewidzianemi sztukami, mającemi na celu wzbudzenie apetytu....

Panowie wzruszyli ramionami na tę przemowę i niezadowoleni cofnęli się do kawiarni, mrucząc:

— Próżniak.

— Pijak!

— Idź pracować!

— Porywa mnie chętka wrazić im dobrze w pamięć tego Kwintyna i Marka!.. — zamruczał jakiś konstytucyonalista zapalony, wziąwszy żart za satyrę polityczną.

Biedny Kwintyn stał jakby skamieniały na widok tej niechęci ku sobie, stał pochylony z kapeluszem w ręku.

Plac tymczasem całkiem pobielał i bladym odblaskiem oświecał smutnie posępną bladość owej nocy zimowej. Portyk oświetlony był latarnią, zwieszającą się u architrawu i mocnem światłem, wylewającem się na zewnątrz przez duże szyby kawiarni.

— Co począć?

Kwintyn znękany rozglądał się wokoło. Nikogo z widzów nie było prócz małego kominiarczyka, który, skręciwszy sobie kulę ze śniegu, zajadał ją z największym smakiem, niby smaczną grzankę smażoną i spoglądał na skoczka oczami rozrzewnionemi, oczekując początku przedstawienia. Wówczas Kwintyn zwrócił się w największem zniechęceniu do swego kolegi w sztuce, jakby pytając go wzrokiem o radę; pies wspiął się prędko na łapy.

— Chcesz pracować? Co?... Odwagi więc i naprzód!

Wlepił wzrok przez szkła kawiarni w tych wszystkich panów, którzy tam tak błogie chwile pędzili, którzy się śmiali, rozmawiali i grali wesoło, spożywali paszteciki i przysmaczki różne.

Pomyślał, że może go dojrzą przez okna i ożywił się tą myślą. Począł znowu rozgrzewać ramiona, bijąc się w pierś odzianą w trykot przemokły, oddechem chciał ogrzać skostniałe palce, popatrzył na kominiarczyka spożywającego dalej kolacyę ze śniegu i począł ustawiać jedne na drugich wszystkie krzesła z kawiarni stojące w portyku. Wkrótce jednak zabrakło mu oddechu, zesztywniały był od zimna, ze znużenia i głodu robiło mu się słabo. Nogi uginały się pod nim, pulsa biły w skroniach od gorączki, gardło wyschło tak, że kurcz go chwytał za każdem słowem, przy każdym oddechu, jak gdyby w gardle tkwiło mu ostrze żelaza.

Kiedy ustawił krzesła, zrobił skok, aby się rozgrzać, lecz pośliznął się na zamarzłym chodniku i omal nie upadł.

— Panowie!... Zaczynamy pracować na wyrobienie w sobie apetytu.

Marek wiedział dobrze, że teraz na niego kolej; wyprostował się i łapą próbował, jak zwykle, poprawić sobie „kepi".

Mały kominiarczyk aż się roześmiał z radości na widok tej mimiki; z wielkiem zadowoleniem, zmarzniętemi dłońmi przyklaskiwał akrobacie wdrapującemu się na wierzch ruchomej kolumny.

Oto już wgramolił się na dwa, trzy, cztery krzesła, już się wydostał na ostatnie i znalazł się na wierzchołku, lecz kiedy chciał się podnieść na żelaznych ramionach do góry, zachwiała mu się ręka, poruszyły się krzesła, stracił równowagę i z całym budynkiem runął na ziemię, ciężarem całego ciała uderzając się o bruk, podczas kiedy krzesła sypały się mu na głowę i piersi.

Nie było słychać ani krzyku, ani jęku, nic, tylko kominiarczyk wrzasnął z przerażenia i zemknął.

W pierwszej chwili nikt się nie zjawił na ratunek nieszczęsnego. Marek nie śmiał się ruszyć i dalej, siedząc na tylnich łapach zmęczony, stawiał od czasu do czasu trzecią łapę na ziemi dla odpoczynku, wyciągał też szyję i patrzył na swego pana, co leżał tam nieruchomy pod krzesłami. Niepokój go ogarniał, więc wyciągnął mordę i wietrzył, starając się odgadnąć przyczynę tej nowej sztuki.

Pierwszy zbliżył się do leżącego tragarz jakiś, potem jakaś kobiecina, wzywająca Madonnę i wszystkich świętych niebieskich, potem zgromadziło się osób z dziesięć, te trzymały się w takiej odległości, że ledwie dostrzedz mogły widownię wypadku. Potem przyszedł garson z kawiarni, ale nie zatrzymał się długo, musiał bowiem wrócić i zdać sprawę gościom, którzy go posłali, z tego całego hałaśliwego zajścia. Nakoniec wpadł stróż nocny, który posłał natychmiast po nosze do szpitala, a skoro nosze przybyły, podniesiono rannego, który znaku życia nie dawał, położono go na materacu, przykryto i ruszono w drogę.

Marek szedł ciągle za panem; odpędzano go precz, lecz nie zwracał na to uwagi i nie oddalał się. Szedł tak za noszami pomału, postępował tuż przy chorym i cały czas głowę trzymał zwieszoną, ogon mając pod sobą; wreszcie znalazł się przed drzwiami szpitala, tu rozzłoszczony portyer odpędził go tak silnem i tak trafnie wymierzonem kopnięciem, że biedny pies nie oparł się, aż gdzieś daleko na ziemi, w śniegu.

* * *

Przez całą noc Kwintyn nie wiedział, co się z nim dzieje; wpadł w omdlenie i dozorcy, czuwający nad chorym, posępnie nad nim kiwali głowami. Kiedy na drugi dzień potem obudził się z tego głębokiego snu i rozejrzał się wokoło, zdało mu się że marzy; pierwszy raz w życiu miał złudzenie, że jest wielkim panem: spoczywał na wygodnem łóżku w białej pościeli i pod nakryciem. Słońce zaglądało do pokoju przez wielkie szyby w oknach, rzucając na białe prześcieradło złociste smugi, pełne

drgających pyłków. W tem pogodnem otoczeniu, gdzie tak czysto było i tak spokojnie, Kwintyn doznał jakiegoś nowego dla siebie uczucia dobrobytu, które z tej wdzięcznej duszy wydobyło gorący wylew podzięki i miłości dla tych wszystkich ludzi, co go pielęgnowali, co ze szczerej miłości bliźniego chodzili tak od jednego do drugiego łóżka; uczuł wdzięczność i miłość dla tych świętych obrazów, co wisiały w około na ścianach i dla tego Chrystusa olbrzymich rozmiarów, namalowanego pod sufitem. Ten Chrystus, ze swego krzyża, zdawał się rozlewać błogosławieństwo swoje i pociechę na całe otoczenie.

Oto nakoniec życie uśmiechnęło się i do biednego Kwintyna... a uśmiechnęło się w chwili, kiedy w tak okropnym stanie obudził się w szpitalu!... Zdało mu się, że jego choroba była dlań pomyślnością prawdziwą. Bolała go głowa, w piersi czuł ranę i ostre bóle, lecz gorączka, dając mu dolegliwości, zsyłała też błogie widzenia.

Zdjęła go chęć, gorąca żądza kochania, i oto w złudzeniu i on jął z niepokojem oczekiwać kogoś za każdym razem, gdy się drzwi otwierały i kiedy do sali ktoś wchodził, czyjaś matka lub siostra, narzeczona któregoś z tych chorych, lub przyjaciel — ci wszyscy, co z uśmiechem zbliżali się do łóżek i, ustawieni w długi szereg, rozdawali dary swoje i pieszczoty.

W takiej chwili każdy z tych chorych doznawał pociechy i ulgi!... Kwintyn patrzył, jak ci, odwiedzający, serdecznie ściskali za ręce biedaków chorych, niosąc im otuchę, widział łzy, uśmiechy, słyszał okrzyki bólu i radości, daremnie jednak wyglądał kogoś, coby przyszedł do niego. Nikt nie znał tego linoskoka, nikt nie wiedział kim on jest; przy jego łożu pustka była, jak gdyby ten człowiek i tu, w tym domu miłosierdzia i cierpienia, był niepotrzebnym intruzem. Wówczas przyszła mu na myśl matka, zniszczona chorobą i zmarła w rowie z zepsutą wodą; pomyślał o ojcu, co życie nędznie zakończył gdzieś na wyspie, dręczony zgryzotą i wyrzutami sumienia; zazdrościć począł tym, którzy znają uśmiech ukochanej i żałował życia, które odeń uciekało, z tej przyczyny, że nie skosztował nigdy jego słodyczy. Sam!... Sam!... zawsze sam!... A jednak.. a jednak i on miał towarzysza, przyjaciela, on, biedny Kwintyn miał go! Na tę myśl wyskoczył z łóżka gwałtownie i patrzył i szukał wokoło... lecz napróżno! Był sam, jak palec, opuszczony... zapomniany! Znowu więc zaczął tracić odwagę i rozpaczać, przyczem gorszą mu się zdała ta samotność wśród świata i ludzi od tej doznanej nocami podczas podróży, kiedy błądził na rozległej równinie, na wybrzeżu morskiem.

Znowu położył się do łóżka, schwycił go kurcz i zdało mu się, że wszystkie słodkie widziadła chwili poprzedniej zamroczyły się i sposępniały dokoła niego.

Rana na głowie otworzyła mu się i krew z niej wypływała. Dozorcy, lekarze i siostry — wszyscy pospieszyli z pomocą, lecz na tych twarzach obcych nie dostrzegł Kwintyn ani odrobiny życzliwości.

Tymczasem gorączka trawiła w dalszym ciągu nędzne to życie, mające się tak tragicznie zakończyć.

Biedaczysko zbliżał się do końca swych cierpień i męki... śmierć nadchodziła... umierał, jak skazaniec — bez łez, skarg i pożegnania, zaś ten ostatni ból, który go czekał w miejscu tem, gdzie wszyscy biedacy doznają pociechy, wyrył na jego twarzy, wśród śladów dawniejszych smutków głęboką bróżdę rozdzierającego bólu... mimo to przed agonią wyraz twarzy się zmienił, i na tych rysach wychudłych, wynędzniałych rozlewać się zaczęła powoli niesłychana tkliwość... Jego usta wyszeptały jakieś imię, spuścił głowę na poduszki i z uśmiechem zamknął oczy.

Tejże chwili usłyszał dochodzące z ulicy wycie przeciągłe, smutne, rozpaczliwe.

To Marek żegnał się ze swoim panem... Biedny Marek!

Koniec.

Wspomnienie z podróży do Tatr.

(Wyjątek z poematu.)

Tam, rozmawiały z sobą niebosiężne Tatry,
Ubrawszy czoło w śniegi, a podnóże w kwiecie;
Rozmawiały milczeniem, szalejące wiatry,
Dzwoniąc ową rozmową po szerokim świecie,
I o ich piersi twarde, o piersi z granitu,
Odbiwszy się, leciały aż do sklepień szczytu!

Tam, jedna skała w konchy i muszle ubrana,
Mówiła do sąsiady: „Jakiż te dzień minął,
Wczoraj jeszcze wodnistym pierścieniem oblana,
Dziś się promienny widok przedemną rozwinął;
Wczoraj jeszcze wieloryb wpychając w głąb ziemię
Przesuwał po mym grzbiecie, rozległe obwody;
Niejeden potwór morski roztaczał swe brzemię,
A dzisiaj na mem czole zawisnęły lody;
Dziś błyskawica z gromem wypadłszy z obłoków,
Pląsa w łoskotnym szumie spienionych potoków.
I na mem łonie ślubne odprawuje gody!"

A na to jej poważna, sędziwa sąsiada
Granitowym językiem wzniośle odpowiada:
„Tyś jeszcze bardzo młoda, córko moja droga;
Ale ja zapamiętam pierwsze dni stworzenia.
Widziałam wtedy Boga, tworzącego Boga;
A Bóg nie był ciemnością i nie miał promienia,
Bóg był tchem i żywiołem. Na wszechmocne tchnienie,
Wody się oddzieliły i lądy stężały.
Zabłysło światło, zmierzchłe wzięła noc odzienie,
A Bóg był wtedy Bogiem nieobjętej chwały;
Pod nim piorunami wzdęte oceany grały,
Góry nabrzmiałą piersią na jego skinienie,
Rosnąc, bodły niebiosa i Stwórcę witały.
Na dwóch polarnych gwiazdach, On położył dłonie,
Księżyc i słońce pyszne osnuły mu szaty,
Piorun był jego słowem, a błyskawic kwiaty
Ognistym wieńcem boskie potrząsnęły skronie.

Ja stałam nad morzami, a marmur zdziczały
Krzemienną stopą deptał me odwieczne skały,
Aż nadciągnęła burza, lunęły potoki,
Ziemia się wstrzęsła, morze uciekło z łożyska,
Grzmiał świat potęgą wichrów, rwały się opoki,
I na zsypisko gruzów spadały zwaliska,
Wtem Bóg rozpędził chmury i otóż dzień świeci."

Tu góra zamilkła, kołem niezmierzone skały
W obłoki swój wierzchołek dźwigają wspaniały,
A u stóp ich pagórki rosną kształtem dzieci.
Gwiazdy obsiadły w rzędach ramiona olbrzyma,
I złocistemi w przepaść sięgają oczyma.
Wiatr zasnął, koziodrzewy czernią się wysoko,
A u spodu zielone, wielkie morskie oko;
Ono pysznie chełboce zwierciadlane fale,
I nadbrzeża odbija w źrenicy krysztale.
Tuż nad niem w czarnych smugach powiewne mgły dyszą,
W nich się dwoją opoki i gwiazdy kołyszą,
Rzekłbyś, że to jest siatka morskiego widzenia.

I głuche nieruchome jezioro i góry,
Jak gdyby Bóg się przejrzał w zwierciadle natury,
Bóg nieruchomy, tylko w namiocie sklepienia:
Coraz to nowe gwiazdy ciekawe migocą,
Na barkach skał odpoczną, dolinę pozłocą,
I pędzą dalej, gnane siłą przeznaczenia.

Na uboczy, na wzgórzu, w owych skał pobliżu,
Błyszczy napis, a nad nim Zbawiciel na krzyżu.
Tam się nagle poety wstrzymała powieka:
Bo chciał nicość swą podnieść i cudom przyrody
Chciał pokazać cud większy, ów marzyciel młody,
Chciał on pokazać Bogu przemianę w człowieka;
Lecz gdy spojrzał na siebie i w przestrach stworzenia,
Spuścił głowę. . . . .
Już słońce twarz swą rozpromienia,
I blaskiem swym całuje niebosiężne szczyty;
Rumienią się odwieczne ziarniste granity;
Błyszczą, lecz nie topnieją na ich czole lody;
A niżej przezroczyste zielenią się wody.